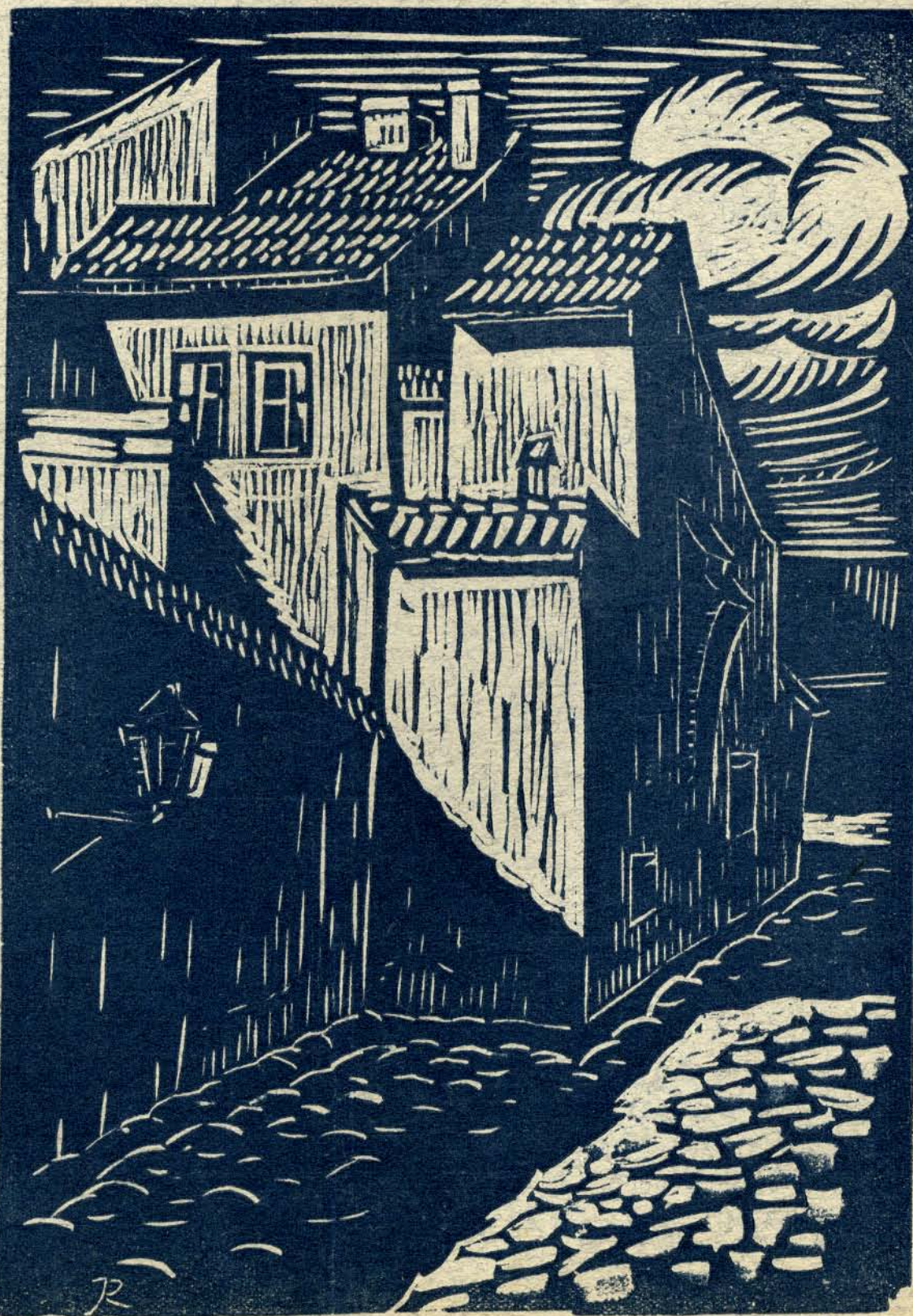


organ klubu włóczęgów w Wilnie

Włóczęga

Nr. 3

R. IV



R. J.

Przedr. z Nr. 3 AMV.

TREŚĆ NUMERU:

Hasła współczesnej Polski T. N. — Inteligencja a komunizm *Konrad Górski*. — Wilno funkcjonalne *Antoni Forkiewicz*. — Wileńskie „gorzkie żale” turystyczne *A. Tański*. — Zdobnictwo ludowe Wileńszczyzny *Helena Trzebińska-Rodzińska*. — Wiersz pesymistyczny *Anatol Mikułko*. — Rzecznieskończona (sztuka w 3-ach aktach) (c. d.) *Władysław Arcimowicz*. — Po Moljerze... „zielone pudła” *Zygmunt Falkowski*. — Na deskach „Lutni” *Kret*. — Sztuka K. Leczyckiego na Pohulance War. Z T-wa Popierania Budowy Publ. Szkół Powsz. War. — Z Akademickiego Klubu Włóczęgów. — Gorzkie żale. — Książki i czasopisma.

„BIBLIOTECZKA WŁÓCZĘGI”

1) Józef Poniatowski:

Polesie w strukturze gospodarczej Polski

2) Marja Znamierowska-Prüfferowa:

Muzeum na wolnem powietrzu w Wilnie

3) 18 ohydnych paszkwilów na Wilno i Wilnian

MOŻNA NABYĆ W ADMINISTRACJI „WŁÓCZĘGI”
(WILNO, PRZEJAZD Nr. 12) ORAZ W KSIĘGARNIACH

CENA TOMIKU — 50 GROSZY

WARUNKI PRENUMERATY: za 12 numerów — 5 zł. Konto P. K. O. Nr. 143.427, TEODORA NAGURSKIEGO
CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{4}$ strony—50 zł., $\frac{1}{2}$ strony—25 zł., $\frac{3}{4}$ strony—15 zł., $\frac{1}{2}$ strony—10 zł., z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej
Ogłoszenia przyjmuje administracja pisma

Komitet Redakcyjny i Wydawca: KLUB WŁÓCZĘGÓW.

Odpowiedzialny redaktor: PIOTR HERMANOWICZ

Redakcja: Wilno, ul. Bobrujska 19 m. 2, tel. 20-36, godz. 16—17.

Administracja: Wilno, ul. Przejazd 12, tel. 16-90, godz. 15—16.

ZAKŁADY GRAFICZNE „ZNICZ” W WILNIE, UL. BISKUPA BANDURSKIEGO 4. TELEFON 3-40.

Hasła współczesnej Polski

W jednym z lutowych numerów „Polski Zbrojnej” ukazał się artykuł, wołający o hasła dla współczesnej Polski. Cieszymy się, że świadomość potrzeby hasła zatacza coraz szersze kręgi. Nie tak dawno byliśmy odosobnieni w ich wysuwaniu, ba, nawet byliśmy atakowani za samo szukanie hasła.

Oto streszczenie naszych podstawowych tez.

Rzeczywistość Polski wysuwa hasła proste, tak, jak prostą i logiczną jest linja rozwojowa Polski, pełnionej potężnie w r. 1926-ym na właściwe tory. Polska Piłsudskiego jest **demokratyczna**, bo twórca jej Niepodległości nie chciał tworzyć i nie stworzył dyktatury jednostki lub klasy, zachował natomiast najważniejsze atrybuty demokracji — z parlamentem, opartym o czteroprzymiotnikowe głosowanie na czele.

W Polsce mamy znakomitą większość ludności rolniczej, wprowadzie w znacznej swej części stojącej na niskim poziomie kultury, niemniej stanowiącą połączny rezerwuar sił potencjalnych. Podniesienie poziomu umysłowego i kulturalnego naszego chłopca pozwoli postawić kropkę na „i” naszego demokratyzmu. Polska winna być przede wszystkim **republiką ludową**.

W dążeniu do podniesienia poziomu naszego ludu, w kształtowaniu z naszego chłopca świadomego obywatela Rzeczypospolitej, mamy na pierwszym miejscu dwa etapy: rzeczywiste zrealizowanie powszechnego nauczania; upełnomocnienie gospodarstw chłopskich w drodze przeprowadzenia radykalnej reformy rolnej.

W miastach nowa Polska musi opierać się na świecie pracy: inteligencie, rzemieślniku i robotniku. W rozwoju Polski rolniczo-przemysłowej — bo taką jest koncepcja gospodarcza naszego kraju — te właśnie momenty winne być wysunięte na pierwszy plan. Produkcja przemysłowa musi opierać się raczej na drobnych średnich przedsiębiorstwach.

Nie ludźmy się, żeby jakikolwiek kapitał zagraniczny przyszedł do nas z większymi inwestycjami. Budowa życia gospodarczego Polski jest uzależniona li tylko od pracy i gospodarności jej obywateli. o wolność polityczną, — w walce o niezależność gospodarczą jesteśmy zdani wyłącznie na **własne siły**. Tych sił nam naogół nie brak. Nasz robotnik rolny i przemysłowy jest uważany za najlepszego w Europie. **Brak nam natomiast dobrej organizacji pracy**. Zlikwidowanie bezrobocia w Polsce i rozwój naszej gospodarki — to przede wszystkim zadanie organizacyjne.

Musimy zresztą przeorganizować nie tylko nasze życie gospodarcze, lecz również naszą administrację,

która ciężkim i niedołężnym częstokroć ciałem przyniata nasze życie współczesne. Należy wypowiedzieć wojnę biurokracji i centralizmowi.

W dziedzinie stosunków narodowościowych nowa Polska musi iść po linii tworzenia ze swych mniejszości **dobrych obywateli państwa polskiego, niezależnie od języka i wyznania**. Do mas mniejszości białoruskiej, ukraińskiej i litewskiej Państwo polskie winno podejść od strony życia gospodarczego w pierwszym rzędzie. Chłop ze wschodnich województw Rzeczypospolitej winien korzystać z dobrodziejstw reformy rolnej bez względu na swą narodowość w tym stopniu jak chłop z województw centralnych. Winien posiadać nauczanie w szkole w tym języku, jakiego naprawdę sobie życzy. Winien być ujęty w ramy dobrej sieci spółdzielni rolniczych z mleczarskimi na czele. Nieudane próby spółdzielcze z lat do 1932-go włącznie, powinny uchronić od powtórzenia dawnych błędów. W owym okresie zdyskredytowała się nie spółdzielczość, a jej organizatorzy.

W dziedzinie stosunków międzypaństwowych miejsce Polski zostało zaznaczone wyraźnie przez jej dotychczasową historję. Polska jest oazą demokratyzmu w Europie wschodniej — „wyspą, na której kwitnie cześć dla wolności” — dla indywidualności ludzkiej. By się oprzeć naporowi dwóch potężnych dyktatur z zachodu i wschodu, ta wolność nie może być jednak synonimem słabości, jak to było w wieku XVIII. „Że jest wolność — poznajemy po jej granicach”. Granice te daje nam nasza Konstytucja. Musimy być państwem o silnej władzy. By się obronić od wrogów zewnątrz, musimy zachowywać nie tylko pozycję obronną — musimy również atakować. Kierunki naszej ekspansji zostały nam wskazane przez Marszałka: pokój na zachodzie — ofensywa na wschodzie.

Polska — „Rzeczpospolitą narodów na wschodzie Europy” — oto jedno z naszych podstawowych hasła. Do tych narodów z którymi nam losy wyznały współpracować zaliczamy w pierwszym rzędzie Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Łotyszów, Estończyków. Ich niepodległość leży w naszym interesie. Z Estonją i Łotwą stosunki mamy uregulowane. Zadaniem dnia dzisiejszego jest ułożenie stosunków z niepodległą Litwą. Zadaniem dnia jutrzejszego będzie poparcie ruchów wyzwoleniczych Ukraińców i Białorusinów w Rosji. W ten tylko sposób będziemy mogli położyć tamę narastającej groźbie ofensywy rosyjskiej na zachód.

T. N.

Inteligencja a komunizm

Słowem „inteligencja“ oznacza się u nas zazwyczaj wszystkich pracowników umysłowych, niezależnie od rodzaju wykonywanej pracy i jej roli w społeczeństwie. Z tego stanowiska inteligentami są zarówno uczone, artysta i pisarz, jak też dziennikarz, nauczyciel i buchalter. Jest wszakże w tak szeroko pojętej grupie społecznej pewna ilość inteligentów, których zadanie polega nie na stosowaniu zdobyczy intelektu do praktycznych potrzeb życia, lecz na tworzeniu nowych wartości intelektualnych. Ci ostatni — intelektualiści albo inteligencja w ciśniejszym znaczeniu tego słowa — powinni być w każdym społeczeństwie elementem, o ile możliwości, apolitycznym! Trudnoby im oczywiście ustawowo zabronić brania udziału w życiu politycznym, ale można to głosić jako zasadę dobrego obyczaju w świecie intelektualistów, że oni mają się trzymać zdala od polityki w imię właściwie pojętej higieny ducha i umysłu.

Zasada ta winna być stosowana jednakże tylko w tych wypadkach, gdy chodzi o walki polityczne między partjami, stojącymi bez wahania i bez wątpienia na gruncie całości i niepodległości państwa i kultury narodu, do którego owi intelektualiści należą. Czy możliwa jednak byłaby taka apolityczność polskich intelektualistów wobec dążeń współczesnego komunizmu, propagowanego przez III Międzynarodówkę? Nie! Stanowczo nie! Dlatego nie, że komunizm, idący do nas ze wschodu, byłby równoznaczny z utratą nie tylko państwowej niepodległości, ale jeszcze bardziej ze zniweczeniem całej dotychczasowej kultury narodu polskiego.

Nie chcę na tem miejscu oceniać wartości komunizmu ze stanowiska wyznawanego przeze mnie poglądu na świat. Szukam dróg porozumienia z każdym inteligentem polskim w tej dziedzinie, która bez względu na różnicę pojęć religijnych, politycznych czy społecznych musi być nam wszystkim jednako bliska i droga, a więc w zakresie polskiej tradycji kulturalnej. Kto z tego stanowiska spojrzy na niebezpieczeństwo komunizmu wschodniego, na groźbę nowego podboju rosyjskiego, idącego do nas pod hasłem zbawczej rzekomo doktryny społecznej, ten nie będzie mógł wytrwać wobec takiego zjawiska politycznego na wzniesionej ponad walki dnia płaszczyźnie inteligentkiej apolityczności.

Inaczej nieco przedstawiałaby się ta sprawa utrzymania ciągłości polskiej tradycji kulturalnej, gdyby komunizm szedł do nas z zachodu. Wcale nie chcę przez to powiedzieć, że wtedy uważałbym wartości ideowe tego ruchu za wyższe, czy wogóle możliwe do przyjęcia ze stanowiska np. katolickiego. Ale wówczas komunizm nie byłby dla nas czemś równoznacznym z utratą samodzielności państwowej i kulturalnej. Aczkolwiek leżymy na granicy między kulturą europejskiego zachodu i wschodu, to jednak przynależność nasza do kultury zachodu nie może ulegać wątpliwości. Nie byliśmy wprawdzie twórcami żadnego z wielkich prądów kultury zachodniej, jak renesans, oświecenie, romantyzm czy pozytywizm. Stale byliśmy w roli tych, którzy coś od zachodu przejmują, naśladują, rozwijają obce pomysły, doganiają, dorastają do poziomu osiągniętego już przez starsze od nas kultury narody zachodniej Europy.

Tylko nieuleczalna i śmieszna megalomanja narodowa może się burzyć przeciw stwierdzeniu tego faktu historycznego. Spokojne i dojrzałe spojrzenie na rzeczywistość dziejową winno z tej obserwacji wyciągnąć narzucający się wniosek, że w sprawie tak kapitalnej, jak zupełna przebudowa ustroju społeczno-politycznego winniibyśmy pójść tą drogą, którą obie-
rze zachodnia Europa. I wówczas nawet ustrój o charakterze komunistycznym nie zagroziłby istnieniu naszej kultury i jej ciągłości. Komunistyczna Anglja, Francja, Włochy czy Niemcy nie czyniłyby żadnych zamachów na naszą samodzielność państwową czy kulturalną.

Nasze doświadczenia z czasów niewoli rosyjskiej i widok tego, co się dzieje w dziedzinie narodowościowej w Sowietach, łatwo może przekonać każdego człowieka, niezaślepionego doktrynerstwem i działającego w dobrej wierze, że zwycięstwo komunizmu w Polsce w chwili obecnej byłoby równoznaczne z zagładą polskości pod każdym względem. Zapewne dla różnych ciemnych ludów azjatyckich, pogrążonych w zupełnem barbarzyństwie, komunizm mógł być jakimś obudzeniem i zaszczepieniem pierwocin kulturalnego życia. Ale dla narodowości takich, jak Białorusini i Ukraińcy, jest on już groźbą dla ich samodzielności kulturalnej. Mimo pozornej swobody w używaniu języka narodowego, różne narodowości żyjące w Z. S. S. R. znajdują się pod działaniem przemownych wpływów kultury wielkoruskiej, podanej w sosie komunistycznym. Jest rzeczą oczywistą, że w razie zwycięstwa komunizmu w Polsce, stajemy się w tej samej chwili członkiem Z. S. S. R., tracąc podobnie jak i inne narodowości, wchodzące w skład państwa sowieckiego, wszelką samoistność polityczną. Poddani centralistycznym rządóm Moskwy, narzucającej wraz z komunizmem kulturę wielkoruską, zachowalibyśmy jako jedyne znamię odrębności narodowej tylko język polski. Dotychczasowa kultura nasza, przesiąknięta tradycją szlachecką i poczuciem odrębnych narodowych wartości, wzbogacona dzięki dążeniom niepodległościowym pierwiastkami gorącego patriotyzmu i umiłowania wolności zarówno indywidualnej jak narodowej, jest czemś nie do strawienia dla umysłowości komunistycznej w duchu moskiewskim. Jeżeli komunizm rosyjski mógł odszukać wiele punktów zaczepienia w tradycjach dawnej kultury rosyjskiej, nie wyłączając jakiegoś odwiecznego moskiewskiego mesjanizmu, to w polskiej przeszłości kulturalnej komunizm trzeciej międzynarodówki takich punktów zaczepienia znaleźćby nie mógł. I dlatego przyłączenie Polski do Z. S. S. R. pociągnęłoby za sobą zaciętą walkę z wszelkimi objawami polskiej tradycji kulturalnej.

Ale inteligencja musi spojrzeć na komunizm jeszcze z jednego punktu widzenia. Istnienie jakiejś grupy społecznej, która hołduje idei swobodnego i krytycznego badania wszelkiej rzeczywistości, i która stoi niejako *au dessus de la mêlée* bieżącego życia, jest też rzeczą nie do przyjęcia w państwie komunistycznym. Komunizm nie bawi się w żadną tolerancję wobec rzeczy, które nie stoją bezpośrednio na jego usługach. Samo istnienie inteligencji w tym sensie, jaki tu podkreślam, musi być zakwestjonowane w państwie ko-

munistycznym. Ostatnio ukazała się w polskim języku książka ks. A. Jakubisiaka „Od zakresu do treści”, gdzie autor w dwóch kolejnych studjach omawia filozoficzne podstawy komunizmu. Kto sądzi, że praktyka sowieckiego komunizmu, druzgocąca jednostkę ludzką na rzecz abstrakcyjnej zbiorowości, jest może wynikiem jakichś przejściowych taktycznych konieczności, ten przekona się ze studjów ks. Jakubisiaka, że się myli. Zniweczenie indywidualności ludzkiej na rzecz gromady tkwi u podstaw ideologii komunistycznej, wywodzącej się z przesłanek filozoficznych bardzo starych, bo sięgających jeszcze filozofii greckiej przedsokratycznej. Ciekawych szczegółowego udowodnienia tej tezy odsyłam do wspomnianej książki ks. Jakubisiaka, a tu chciałbym tylko podkreślić ten fakt,

że ani teoria, ani praktyka komunizmu, nie zniesie istnienia swobodnej i niezależnej myślowo grupy społecznej, której zadaniem byłoby tworzenie wartości intelektualnych, niewprzęgniętych integralnie w całokształt dążeń komunizmu, jako pewnego określonego poglądu na świat, jako pewnego typu życia, zrywającego wszelkie węzły z dotychczasową kulturą.

To też bierny stosunek naszej inteligencji do rosnącej ekspansji komunistycznej byłby dowodem braku instynktu samozachowawczego tej inteligencji, jako spadkobiercy dotychczasowych zdobyczy polskiej kultury, a wobec tego odpowiedzialnej i za jej przyszłość, i jako grupy społecznej, tworzącej wartości intelektualne w atmosferze swobody myśli i ducha.

Konrad Górski.

Wilno funkcjonalne

Referat wygłoszony dnia 20 lutego 1936 r. na zebraniu Komisji Urbanistycznej m. Wilna

Nawiązując do prac CIRPACU (Comité International pour la Réalisation des Problèmes d'Architecture Contemporaines) oraz „CIAM” (Les Congrès Internationaux d'Architecture Moderne), tworzących CIRPAC, starałem się opracować narazie szkicowo zagadnienia funkcjonalne naszego miasta.

Ponieważ dzisiaj przy rozwiązywaniu zagadnień urbanistycznych uzależnia się je od funkcji, jakie spełniają lub spełnić mają w całokształcie organizmu miejskiego poszczególne jego części, powoduje to wielką trudność i niebezpieczeństwo przy próbach doskonalenia lub przeróbek istniejących fragmentów miasta, bez uwzględnienia wszelkich możliwych do zanalizowania czynników oddziaływania.

Przytoczę w tym miejscu słowa urbanisty, autorytetu europejskiego inż. Dr. Kelena z Zurychu.

„...kolosalną przyszłość mają zagadnienia urbanistyczne, zarówno pod względem czasu, jak przestrzeni.

Urbanista będzie musiał w swej pracy ogarniać coraz szersze dziedziny, brać pod uwagę zarówno stosunki ekonomiczne, jak i społeczne, oznajamiać się, w związku z projektowaniem, z badaniami przeszłości. Nie będzie on mógł pozwolić sobie na luksus specjalizowania się w jednej dziedzinie, przeciwnie, okoliczności zmuszają go do rozszerzenia swych wiadomości i zapoznania się z różnorodnymi gałęziami wiedzy, a więc z techniką, badaniami historycznymi, ekonomią, socjologią i t. p.

O ile potrafi on zastosować we wszystkich tych dziedzinach ścisłość metod naukowych, wtedy jedynie zdoła sprostać stawianym mu zadaniom. W tym celu musi on spełnić przede wszystkim jedno z zadań zasadniczych: zerwać całkowicie z dotychczasowym tradycyjnym skrupowaniem i ze swoją dotychczasową ideologią, niemającą nic wspólnego z nauką, a przeciwnie, — graniczącą z mistycyzmem“.

Na wstępie chciałbym określić funkcje, jakie winien spełniać plan miasta, mówiąc w szczególności o Wilnie, ponieważ Wilno, łączące w sobie wszelkie niemal pierwiastki wielkiego miasta, ma jeszcze specyficzne właściwości, które winny oddziaływać na kształtowanie jego planu.

Cheąc powiedzieć o funkcjonalizmie miasta, za-

znacze, że funkcjonalizm każdego obiektu zamyka się w ramach, do jakich dany obiekt ma służyć. Jeśli studjujemy funkcjonalizm kuchni, obliczamy najekonomiczniejszą liczbę kroków kucharki pomiędzy trzonem kuchennym, stołem i zmywakiem, jednak, gdy chcemy zanalizować funkcjonalizm kościoła, nie wystarczy rozwiązanie wyjścia i wejścia dla wiernych, najkrótszej drogi z zakrystji do ołtarza, lub tronu biskupa, ponieważ do funkcji, które winien spełniać kościół, należy też „nastrój”, skupienie, podniesienie ducha, szereg czynników, które matematycznie nie dadzą się ująć. Dzięki tym czynnikom pozornie obalają się przy kształtowaniu kościoła wszelkie zda się uświęcone kanony nowożytniej architektury; dlatego architekt dzisiejszy częstokroć nie może dać sobie rady, stojąc przed zagadnieniem rozwiązania projektu kościoła.

Najłatwiejszą rzeczą przy projektowaniu świątyni jest trzymać się starych, od setek lat ustalonych wzorów, wtedy architekt napewno znacznych błędów nie popełni, rzeczy jego będą poprawne, lecz też kultura narodu nic na tem nie zyska, a historia sztuki nie wzbogaci się o nowe nazwisko.

Mówiąc o funkcjonalizmie w architekturze na tych paru drobnych przykładach chciałem wykazać, że funkcjonalne ujęcie miasta, a tembardziej Wilna, jest rzeczą dość trudną i może być wiele poglądów subiektywnych na te same sprawy. Chciałem swój referat traktować jako podstawę do dyskusji, w której wyłoniłyby się następne wytyczne dla projektowania planu zabudowy i regulacji, żeby architekt, który przyjdzie tę rzecz robić, nie błąkał się w chaosie dociekań i niepewności i żeby, zapoznawszy się z niemi, od razu mógł zdecydować się, czy potrafi współpracować z naszą komisją, czy też stanąłby na przeciwnym biegunie i zamiast pozytywnej pracy wywiązałyby się ciągła walka dwóch, albo większej ilości poglądów.

Najtrudniejszą rzeczą byłoby konieczne zdefiniowanie dwóch grup funkcjonalizmu naszego miasta, określam jako: 1. miasto historyczne, 2. miasto nowożytne; dwie te rzeczy zazębiają się i tworzą nierozdzielłą całość i jedno nie ma prawa uszczuplić nic z dorobku i możliwości rozwojowych drugiego.

Rozgraniczenie terenowe jest tu niemożliwe, może być jedynie mowa o rozgraniczeniu pewnych funkcji miasta do jednej, lub drugiej grupy, powiązanie zaś ich w całość doskonałą, byłoby zadaniem urbanisty, który przyjdzie.

Idąc dalej, w pierwszej grupie, zatytułowanej przezemnie **Miasto Historyczne**, rozróżniałbym następujące funkcje:

1. Stolica wielkiego kraju.
2. Miasto zabytków kultury przedrozbiorowej.
3. Układ komunikacyjny na siedmiu głównych szlakach.

4. Układ terenowy sieci ulic.

5. Ośrodki handlowe i społeczne dawnego miasta.

6. Wspomnienia strategicznych urządzeń.

W drugiej grupie — **Miasto Nowożytne**:

1. Rozwój miasta na szlakach dawnych, lecz o zmienionym charakterze.

2. Plan Wilna w zależności od regionu.

3. Handel i przemysł, jako czynniki kształtujące miasto.

5. Dzielnice mieszkalne i tereny odpoczynkowe.

6. Warowność — względy strategiczne.

Dwa te szkice zrobione na podstawie planu Wilna ilustrują podane przezemnie tezy. Powstawanie nowych dzielnic wypacza dawny charakter miasta, mamy obecnie, już nie zamknięty w sobie *bourg* i luźno związane z nim przedmieścia (*faubourgs*), lecz jeden rozległy organizm, o wspólnych zainteresowaniach, kierowany tą samą władzą zarządu miejskiego i tętniący wspólnymi arteriami.

Miasto rozpełzło się, granice jego są nieuchwytne, przedmieścia oddaliły się o dziesiątki kilometrów od ośrodka macierzystego, tworząc miasta-satelity, to też stoję na stanowisku, że traktowanie planu zabudowy bez uwzględnienia regionu, byłoby największym błędem i byłoby przeciwne najnowszemu zdobyczom wiedzy urbanistycznej; tylko w wypadku współpracy biura regulacji Wilna z biurem planu regionalnego moglibyśmy dojść do pozytywnych wyników.

Niestety Wilno i Wileńszczyzna pozbawione są dotąd biura, opracowującego plan regionalny, pozostały one pod tym względem daleko w tyle poza innymi dzielnicami Państwa. Nad zagadnieniami regionalnymi i krajowymi pracują biura i pracownie planów regionalnych: Wybrzeża Morskiego, Zagłębia Węglowego (Katowice), Podhala (Zakopane), Huculszczyzny, Warszawy, Łodzi, Poznania.

Obecnie subsydjum państwowe na opracowywanie planów regionalnych, czyli na utrzymanie wymienionych przed chwilą biur, wynosi rocznie milion złotych, przy obowiązku takiego samego co do wysokości sfinansowania przez samorządy, o ile wiem, ostatnio na skutek powstania biur planu regionalnego Podlasia i Wołynia, wysokość subsydjum państwowego przekroczyła już milion.

Sądząc, że w najbliższym czasie i Wilno uzyska obok biura regulacji przy Zarządzie Miejskim również biuro planu regionalnego, utworzone zapewne przy Urzędzie Wojewódzkim, w dalszym ciągu referatu będę nawiązywał, w miarę potrzeby, zagadnienia racjonalnego rozwiązania planu, uwzględniającego funkcjonalizm miasta do zorganizowania regionu, z którym miasto macierzyste winno stanowić jednolitą całość, ponieważ wtedy wszystkie części składowe regionu wzajem się uzupełniają.

Ośrodek bogatego regionu staje się przez to samo miastem bogatym, a dążyć do tego musimy jedynie przez zorganizowanie i odpowiedni podział funkcji, zgodnych z układem geograficznym, geologicznym, ekonomicznym i t. d. po przestudjowaniu doskonałym wszystkich warunków rozwoju, czynników oddziaływujących i możliwości, ujętych z najdalej posuniętą matematyczną dokładnością.

Treścią niniejszego referatu będzie analiza czynników, o których wspomniałem, bardzo ogólnikowa, potraktowana jedynie ramowo, ponieważ każde, pozornie drobne zagadnienie, przy szczegółowym badaniu może wyrosnąć do dzieła kilku i kilkunastutomowego.

Przechodząc do poszczególnych punktów analizy, zastosuję uprzednio podaną kolejność, która, moim zdaniem, jest związana z przyczyną powstawania, omawianych w dalszym ciągu zjawisk.

I. Miasto Historyczne.

1. Stolica wielkiego kraju, dawnej Litwy, Wielkiego Ks. Litewskiego, ośrodek skupiający naukę, sztukę i władzę polityczną obszaru większego od dzisiejszej Polski, nie powinna zatracić tego charakteru. To, co było wspaniałe, mówiące wielką prawdę o rozwoju kraju pod wpływem ducha i kultury Polskiej, winno pozostać i być uwidocznione, wydarte z pod nawarstwienia lat nierzędu i niewoli.

Wilno, w swoich zabytkach architektonicznych jest najbardziej polskie ze wszystkich miast polskich, gdyż to, co tu powstało, zostało otrzymane albo bezpośrednio od Polski, lub też przez polską kulturę zostało dokładnie przefiltrowane.

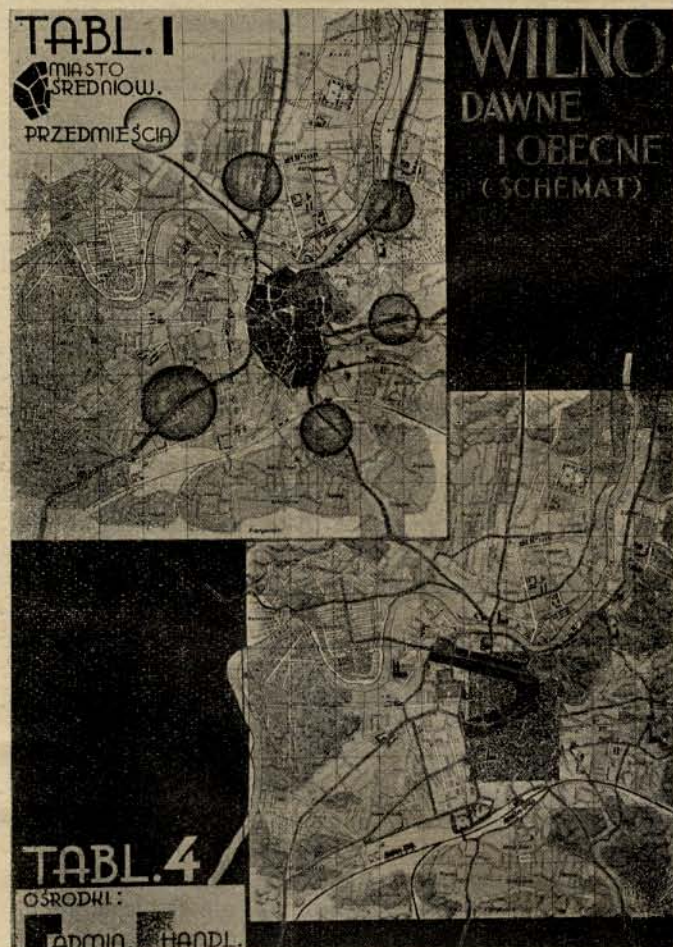
Wilno-stolica, wprawdzie dzisiaj ma władzę polityczną znacznie uszczuploną, lecz promieniowanie duchowe w sferze nauki i sztuki nie zmalało w niczym od czasów Jagiellonów i Batorego, i gdyby nie wschodnia i północna granice, Wilno, będąc stolicą jedynie województwa, byłoby stolicą duchową krajów od Bałtyku niemal do Morza Czarnego i na wschód do Smoleńska. O ile Kraków, pierwsza stolica Polski, jest dzisiaj mauzoleum narodem, to Wilno, powstałe z wielkiej idei Jagiellonów, winno być trzecią stolicą, największym monumentem i bazą ekspansji polskiego ducha w kierunku naturalnego rozwoju państwa.

2. Wilno jest miastem zabytków, lecz zabytki te nie powinny stać pod kłozami i gablotach muzeów, one są trwałym spoiwem, wiążącym, oby jak najświetniejszą przyszłość z wspaniałą przeszłością. Zabytkowe gmachy kultu religijnego, pałace dawne, świadczące o minionej świetności, organicznie winny być połączone z miastem nowym, nie tracąc nic z charakteru; nie będziemy przebijać arterji, otwierającej np. perspektywę na kościół św. Mikołaja, ale mu damy takie podejście, któreby odpowiadało celowi, nie będąc w najmniejszym stopniu w niezgodzie z charakterem historycznym architektury wileńskiej.

3. Układ komunikacyjny dawnego miasta, rzucający się do dziś dnia w oczy, a świadczący o tem, że Wilno było tym wielkim ośrodkiem politycznym i handlowym, winien być wydobyty w całej okazałości, tembardziej, że do dziś przetrwały niemal te same szlaki handlowe, rola ich znacznie zmniejszyła

się, lecz w związku z rozwojem ruchu samochodowego znów wracamy, mógłbym powiedzieć, do dawnych form i linii komunikacyjnych.

Ratusz na rozdrożu, z wielkim placem trójkątnym, jedna z najdziwniejszych i być może najpiękniejszych rzeczy starego Wilna, nie mówię tu o samym gmachu, lecz o założeniu urbanistycznym, jest momentem, który ilustruje najlepiej historię powstania i rozwoju miasta (tabl. 1).



4. Nieregularny układ ulic powstał z jednej strony w nawiązaniu do krzyżujących się w kilku kierunkach arterij komunikacyjnych, z drugiej strony — w związku ze spadkami i wzniesieniami terenu, to dostosowanie do terenu, które już dawnym inżynierom pozwalało na odstępstwo od uświęconego tradycją planu szachowniczego, nie powinno być naprawiane, tembardziej, że często koszty są niewspółmierne do efektu, który nieraz może się okazać ujemny.

Zgodnie z nauką, prowadzenie ulic w wykopach lub nasypach, dopuszczalne jest tylko dla głównych arterij komunikacyjnych, o wielkim i szybkim ruchu pojazdów mechanicznych, ponieważ bardzo trudno rozwiązać pomyślnie tego rodzaju ulice o ruchu przerywanym, lub też amortyzacja kosztów jest nieosiągalna.

5. Ośrodki handlowe i społeczne dawnego miasta — rynki, place zebrania, targowiska, o ile nie funkcjonują do dzisiaj w tym charakterze, stają się jedynie placami, broń Boże nie skwerami. Barbarzyński skwer na placu Katedralnym, lub na placu Ratuszowym, winny zniknąć jak najprędzej. Wkraczając w

nowszą dzielnicę, widzimy zeszpecenie placu Łukiskiego przez zasadzenie tam drzew w sposób przypominający sad owocowy, a nie z architekturą i urbanistyką nie mający wspólnego.

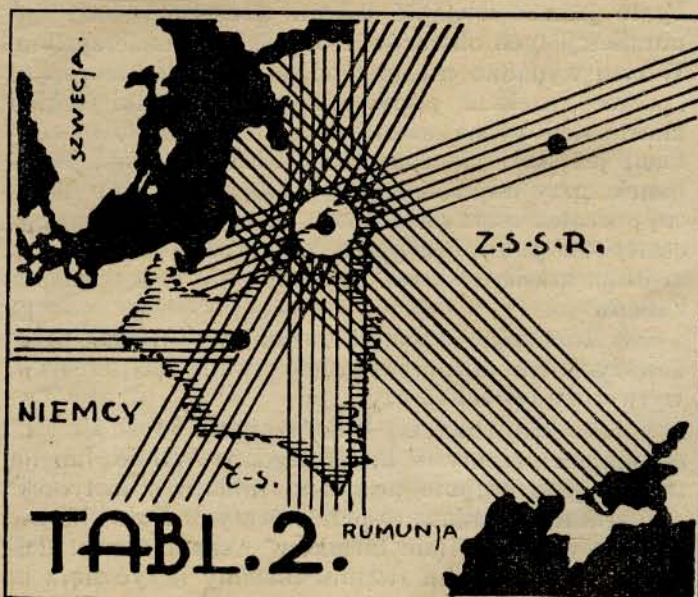
6 Ostatni punkt analizy miasta historycznego nazwałbym wspomnieniem urządzeń strategicznych. Inne miasta posiadały przeważnie fortyfikacje, które z biegiem lat unowocześniały się, rozrastały, Wilno było ich niemal pozbawione. Być może dlatego, że żaden z dawniej znanych sposobów obrony nie dałby efektu wskutek teoretycznego położenia Wilna. Z gór otaczających zawsze strzały mogły razić w środek miasta, żadne mury nie mogły go osłonić. To też ubogie mury miały raczej charakter konwencjonalny, odkryte świeżo ślady barbakanu i innych urządzeń obronnych nie wywierają wpływu na charakter miasta.

II. Przechodząc obecnie do drugiej grupy funkcji, które miasto winno spełniać jako **Nowożytnie Miasto**, postaram się zanalizować je w pewnej kolejności, wynikające z kształtowania się planu i wzajemnego oddziaływania na siebie rozmaitych czynników.

1. Wilno leży na skrzyżowaniu pasm komunikacji transeuropejskiej w nawiązaniu do północno-wschodniego odcinka wybrzeża Bałtyku (tabl. 2). Obecnie wskutek warunków politycznych układ ten komunikacyjny został okaleczony, pozostała jedynie droga tranzytowa, idąca z Polski środkowej w kierunku północno-wschodnim, handlowo najmniej korzystna, gdyż równoległa do komunikacji morskiej Europy Zachodniej z Łotwą, Estonią, Finlandią i Rosją Północną. Uzbrojenie pasm, wskazanych na tablicy wskazuje, że w przeszłości posiadały duże znaczenie dla komunikacji tranzytowej.

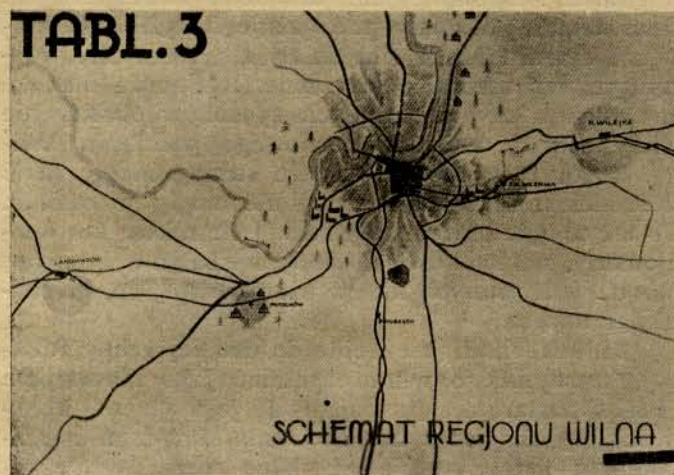
Krzyżowanie się pasm, daje nam obraz regionu Wilna, związanego z nim najsilniej więzami gospodarczymi, widzimy więc, że do orbity bezpośredniego oddziaływania Wilna wchodzi takie miasta, jak Kowno, Wilkomierz, położone obecnie poza granicami Państwa.

Jako wniosek, wyprowadzony na podstawie niniejszego wykresu, możemy powiedzieć sobie, że opracowując plan regionalny, w znacznie szerszym zakresie, niż to uwidocznione jest na tablicy, a realnym dla dzisiejszego ukształtowania warun-



ków rozwojowych Wilna, musimy pamiętać o naturalnym regionie, do którego może z biegiem lat znów wrócimy, przy zmianie stosunków politycznych.

2. Przechodząc od obecnego regionu Wilna, uwidocznionego na tabl. 3-ej i analizując w związku



z istniejącymi funkcjami gospodarczymi Wilna, widzimy szereg dróg wypadowych, o znaczeniu niemal równorzędnym. Służą one przeważnie dla komunikacji nieprzekraczającej 200 km., o ile trakty, uwidocznione na tabl. 1-szej, służyły do wielkiej komunikacji, przy nich rozbudowywały się przedmieścia, przy nich rozłożone były w większości wsie i miasteczka, dzisiaj powiększyła się ilość dróg wjazdowych, w związku z gęstszą zabudową kraju, lecz jednocześnie drogi komunikacji transkontynentalnej utraciły swe znaczenie wskutek granic nowopowstałych, a przecinających często zdrowemu rozsądkowi i strukturze gospodarczej.

Widzimy na tym planie niedorozwój regionu, który rozbudował się na linii wschód — zachód, jak najmocniejszego gospodarczo pasma komunikacji, z zupełnym niemal zanikiem na innych kierunkach, rozłożonych promieniście w stosunku do Wilna, a zaznaczonych istniejącymi szlakami komunikacyjnymi o wielkiej przeszłości historycznej. Moim zdaniem, dalsze powstawanie miast-satelitów w rodzaju N. Wilejki, Landwarowa, Kolonji Wileńskiej, Jagiellonowa, należałoby skierować na tereny, położone na południe i południowy wschód od Wilna. Mogłoby to jednak nastąpić jedynie przy ulepszeniu komunikacji tych obszarów z ośrodkiem macierzystym. W tym wypadku musimy pójść zgodnie z teorią, że „podaż zwiększa popyt”, zresztą zaczątki takich miast-satelitów na wskazanych przeze mnie kierunkach już dają się zauważyć, szczególnie np. Porubanek, przy najdrobniejszej bodaj inicjatywie, dającej początek realnym formom, dajmy na to przy parcelacji na podstawie planu zabudowy, stałby się w krótkim czasie miastem, liczącym parę tysięcy mieszkańców.

3. Analizując warunki rozwojowe Wilna, przede wszystkim musimy zwrócić uwagę na przemysł, wytwórczy i przetwórczy.

Jako kraj rolniczy, Wileńszczyzna może się stać ośrodkiem przemysłu lnianego, w Wilnie, lub na terenie jego regionu powstaną zakłady i instytucje o charakterze badawczo-przetwórczym. Ilość obecnie istniejących w Wilnie tartaków, wskazuje nam delną granicę, w jakim stopniu musimy liczyć się z tą

dziedzina przemysłu, gdzie gra też dużą rolę splaw materiału leśnego Wilją.

W miarę postępu organizacji gospodarczej, powstaną tu też ośrodki handlu innymi owocami wytwórczości kraju. Tereny pod składnice, w nawiązaniu do dróg komunikacyjnych, tak doprowadzających, jak i eksportowych, winny być dobrze obmyślane i przewidziane, ażeby w przyszłości uniknąć obecnego chaosu, który zarówno szkodzi regularnemu rozwojowi miasta, jak i przedsiębiorstwom, przysparzając często nieprodukcyjnych kosztów. Naprzykład racjonalne zorganizowanie handlu mięsem, stworzenie targowiska na bydło z nawiązaniem z jednej strony do kolei, z drugiej do dróg przy stworzeniu tego rodzaju sieci komunikacyjnej miejskiej, która by pozwalała na doprowadzenie większej ilości zwierząt z pominięciem centralnych arterii miasta; związanie targowicy z nowoczesnymi rzeźniami oraz chłodnią.

Inwestycje te nie tylko dadzą miastu lepsze i tańsze mięso, lecz staną się magnesem dla handlu w tej dziedzinie, ogniskującym w Wilnie zarazem przemysł przetwórczy.

Jako inny przykład można by wziąć dajmy na to handel jabłkami, może w mniejszym stopniu organizacja jego wpłynęłaby na kształtowanie odpowiedniego fragmentu miasta, lecz jest on jednym z czynników gospodarczych kraju, który może oddziaływać na miasto. Obecnie wielkie transporty idą wprost z ośrodków produkcji do Warszawy, Katowic, Łodzi; producent dostaje ceny bardzo niskie, nieprawdopodobna jest rozpiętość między ceną jaką on otrzymuje, hurtową, na cele przemysłowe i detaliczną. Stworzenie w Wilnie odpowiedniego ośrodka i giełdy, być może polepszyłoby cenę zakupu i dało impuls do inwestycji kapitałów w przemyśle przetwórczym, któryby powstał w zorganizowanym ośrodku.

Dwa te przykłady wziąłem celem zilustrowania możliwości powstawania ośrodków handlowo-przemysłowych, mogących wpłynąć na późniejsze kształtowanie miasta. Istniejący w Wilnie przemysł, oznaczony częściowo na załączonym schemacie, jest rozrzucony chaotycznie po mieście, nie posiada nawet takich skupień, jakie dają się zaobserwować w Warszawie.

Szkodliwe dymy siarczane odlewni żelaza, niemniej też szkodliwe dymy i wyziewy garbarni, gazowni zasilają powietrze miasta w dzielnicach mieszkaniowych.

Zdarza się często, że ruch na głównych ulicach bywa tamowany przez furmanki z kłocami długości kilkunastu i dwudziestukilku metrów, dowożonemi do tartaków.

Nie będę tu wliczać wszelkich braków planu Wilna, powstałych z nieuwzględnienia funkcji, spełnianych przez miasto, jednak to trzeba przyznać, że zalety planu są równie wielkie, a może nawet większe i naprawa nie jest rzeczą nieosiągalną.

W przyszłym planie zabudowy zapewne znajdą się odpowiednie tereny pod budowę tartaków, hut szklanych, odlewni żelaza, garbarni i t. p., właściwie powiązane z układem komunikacyjnym, od którego rozwój i normalne funkcjonowanie ich zależy, a mianowicie rzeka, drogi, ulice, koleje, wpłyną na obniżenie znacznych kosztów produkcji.

Przez uwzględnienie kierunków i nasilenia wiatrów przeważających usunie się poza miasto, w miarę możliwości, szkodliwe wyziewy, wydobywające z

fabryk, zatruwające obecnie powietrze w różnych punktach Wilna.

4. Funkeja Wilna, jako ośrodka administracji politycznej i gospodarczej, reprezentacja potęgi Rzeczypospolitej na ziemiach północno-wschodnich powinna być też szczególnie uwzględniona w przyszłym planie miasta. Na wykresie jest widoczne, że sprawa ta przedstawia się stosunkowo dobrze, większość gmachów na ten cel przeznaczonych, znajduje się w pewnym skupieniu, które w znacznym stopniu uprzystępnia załatwianie spraw, wymagające nieraz odwiedzenia szeregu urzędów i instytucyj.

Łączy się tutaj sprawa hotelów, dworca kolejowego, dworców autobusowych, portu lotniczego, któreby spełniały nietylko swe zadanie w zakresie najpilniejszych potrzeb, lecz stanowiły ośrodki reprezentacyjne, przez odpowiednie podejście były przystosowane do zorganizowania wszelkiego rodzaju uroczystości, powitań, pożegnań i t. p.

5. Na schemacie planu Wilna, bez uwzględnienia regionu, podałem obecny układ miasta, który jest zadziwiająco regularny, mamy „City“, ośrodek handlowo administracyjny i wokoło dość równomiernie rozłożone dzielnice mieszkaniowe. Ideał urbanistyczny, przez podział na zdecydowane dzielnice, handlową, administracyjną, mieszkaniową, przemysłową i nawiązaną z niemi lotniskową, z klinami wcinającej się zieleni, jako terenów odpoczynkowych, oraz rezerwatów świeżego powietrza, połączonych z organizmem miasta pasmami zorganizowanej zieleni, w nawiązaniu do arterij komunikacyjnych i zabudowy, jest dla Wilna szczególnie łatwo osiągalny.

Patrząc na ten plan spostrzegamy, że upada legenda o dobrych warunkach Wilna pod względem istniejącej zieleni. Być może w samym mieście mamy jej dość sporo, lecz przeważnie na terenach prywatnych, dotychczas niezabudowanych, naskutek zahamowanego rozwoju miasta. Brak zupełny, poza ogrodami Zamkowym i Pobernardyńskim, zorganizowanych skwerów, zieleńców, bulwarów. Jednym z najpilniejszych zadań przyszłego planu zabudowy będzie uratowanie w tej dziedzinie tego, co się jeszcze da uratować i stworzenie pasm zieleni wewnątrz miasta, jak najmniejszym kosztem. Pasma zieleni w

ten sposób stworzone, a łączące się z rzeczywistością bogatym w lasy otoczeniem Wilna, staną się płucami, które potrafią wprowadzić do miasta ogrom świeżego i czystego powietrza. Na planie widzimy, że istnieje możliwość stworzenia takich pasm nad obu brzegami Wilni, oraz częściowo wzdłuż Zawalnej, której strona zachodnia jest dziś słabo zabudowana.

6. Kwestja warowności, względy strategiczne, od wieków wpływały poważnie na kształtowanie miasta, zwykle w kierunku kłępującym. Przy opracowywaniu planu zabudowy Wilna, zaważą one też w znacznym stopniu, narzucając pewne wymagania w zabudowie i komunikacji, którym urbanista będzie musiał podporządkować się.

Ta krótka analiza nie wyczerpała nawet w znikomym procencie całokształtu zagadnień funkcjonalnych miasta, nie poruszałem tu niemal kwestyj mieszkaniowych, ekonomicznych warunków ludności, szczegółowego układu wzajemnego dzielnic i fragmentów regionu.

Chciałem dać jedynie pewien rzut oka na sposób podchodzenia do zagadnień urbanistycznych nwożytnego architekta, za jakiego do pewnego stopnia śmiem się uważać.

Mam nadzieję, że plan zabudowy i regulacji, do którego realizacji zdaje się zbliżamy, będzie dziełem, stawiającem nas w oczach potomnych nie w najgorszym świetle. Popularny był w swoim czasie wśród architektów warszawskich sylogizm „Wielcy ludzie tworzą Wielkie Epoki, Wielkie Epoki tworzą Wielką Architekturę, Epoka Marszałka Józefa Piłsudskiego trwać będzie dopóki my wszyscy, którzyśmy walczyli pod Jego rozkazami, którzy widzieliśmy Go, będziemy żyć i tworzyć, ponieważ z Jego Ducha powstała niepodległość i to, że mamy możność otrząśnięcia się i zrzucenia z siebie jarzma półtorawiekowej niewoli. Jeżeli niektóre gmachy wzniesione nawet w połowie XIX wieku nauka dzisiejsza zalicza do epoki Stanisławowskiej, to Epoka Marszałka Piłsudskiego nie skończy się wcześniej, aż wszystkie miasta i miasteczka Polski staną się skończonemi dziełami architekta i urbanisty, trwałemi pomnikami Wielkiej Epoki, którą stworzył nasz Wódz“.

Antoni Forkiewicz.

Wileńskie „gorzkie żale“ turystyczne

Wczoraj rozmawiałem o turystyce z pewnym wileńszczykiem, kochającym swe miasto, a mającym za sobą spory staż pracy społecznej.

Mówiłem o znaczeniu dla Wilna ruchu turystycznego, o roli związku Propagandy Turystycznej Ziemi Wileńskiej, zmierzającej ku ożywieniu turystyki do nas, o przewidywanym w tym roku dużym napływie turystów do naszego miasta. „Turystyka? Turystyka do Wilna? Panie, ależ nikt poważnie jej nie traktuje, tak, jak nikt nie bierze „na poważne“ tutejszego Związku Propagandy Turystycznej. Kto tam do Wilna pojedzie? Zresztą, niech mi Pan wierzy, prędko moda na turystykę przejdzie, całą sprawę wraz z Wileńskim Związkiem Propagandy Turystycznej, złoży się do lamusa!“.

To nie jest głos odosobniony. To głos Wilna. „Inteligencji“ wileńskiej, (pardon pour le mot!), Przeciwny inteligent wileńszczyk nie widzi i nie rozumie, że turystyka stała się na całym świecie, a staje się stopniowo i u nas w Polsce potężnym zjawiskiem, poruszającym (dosłownie „poruszającym“) masy, posiadającym kolosalne znaczenie z punktu widzenia kulturalnego, politycznego, gospodarczego. Że coraz szersze i szersze zatacza kręgi. Coraz bardziej się demokratyzuje. Powoduje poważne przesunięcia kapitałów. Dostarcza zarobków różnym gałęziom i zawodom. — Poco szukać cyfr, dotyczących zagranicy? Województwo krakowskie zarabia na turystyce 60—70 milionów złotych rocznie. Zaczyna zarabiać i Wilno, gdyż ruch turystyczny do stolicy Ziemi b. W. Ks. Li-

lewskiego wzrasta z roku na rok i ma poważne szanse dalszego rozwoju. Wilno jest punktem niezwykle atrakcyjnym dla mieszkańców różnych dzielnic Polski, atrakcyjnym nawet dla przybyszów z zagranicy. Nie potrzebujemy się chyba rozwodzić dlaczego.

Wilno, ze swym bogactwem architektonicznym, znajdującem tak piękną oprawę w malowniczym położeniu miasta, w którym króluje ta, co w Ostrej świeci Bramie, Wilno, obfitujące w tyle drogich każdemu Polakowi wspomnień historycznych, tradycji literackich, miasto młodości Mickiewicza i Słowackiego, Wilno „miłe miasto“ Marszałka Piłsudskiego, posiada w Polsce *ogromny kredyt sentymentu*, a jednocześnie wielu jeszcze nęci posmakami egzotyki. Czynniki te, to potężne motory, znakomicie sprzyjające rozwojowi turystyki do tego miasta, które dotąd jeszcze tak niewiele osób zna bezpośrednio. Zresztą, sentyment dla Wilna nie tylko wśród Polaków jest tak rozpowszechniony. Znany jest kult Wilna po tamtej stronie granicy litewskiej. Niewątpliwie, gdy tylko rozpocznie się normalny, na pokojowych zasadach oparty, ruch między Litwą, a Polską, co prędzej, czy później musi przecie nastąpić — Wilno stanie się celem narodowych pielgrzymek litewskich. A Żydzi? Żydostwo całego świata uważa Wilno za drugą Jerozolimę i żywi wielki sentyment dla tego miasta. Turystyka żydowska do Wilna rokuje wielkie możliwości — dotąd nie wykorzystane. Mogłaby ona dla Wilna przynieść niemałe korzyści gospodarcze.

Rok 1936 będzie okresem szczególnie wzmoczonego ruchu przyjezdnych do Wilna. Będzie to rok związany ściśle z uczczeniem pamięci ś. p. Marszałka Piłsudskiego. Do mauzoleum na Rossie zostanie przeniesione Jego serce, które Wilno nad wszystkie miasta w Polsce umiłowało.

Dzięki staraniom grupy wilnian dobrej woli, którzy pragnęliby udostępnić wszystkim Polakom złożenie hołdu sercu Marszałka, zwiedzenie Jego ukochanego miasta i stron rodzinnych — centralne władze kolejowe i turystyczne (Liga Pop. Turystyki) w Warszawie mają skierować do Wilna w r. 1936 z górą sześćdziesiąt pociągów popularnych, a niezależnie od tego popłyną do Wilna pielgrzymki i wycieczki w mniejszych grupach, oraz turyści indywidualni. Ma być także wzmoczony ruch pielgrzymkowy do Ostrej Bramy, która cieszy się w Polsce podobnym kultem, jak Częstochowa, jednakże bezporównania mniej jest odwiedzana przez pielgrzymów, wobec kosztów dojazdu z centralnych, południowych i zachodnich dzielnic państwa oraz niedostatecznej propagandy.

Co jeszcze może być u nas atrakcją dla turystów? Sporty zimowe, wobec doskonałych terenów narciarskich, boery, letnie sporty wodne na pięknych i licznych szlakach rzecznych i jeziornych Wileńszczyzny (a propos jeziora — czemu dotąd nad Narocz niema tanich przejazdów weekendowych, mimo tylkokrotnych wystąpień w tej sprawie różnych miejscowych czynników turystycznych i sportowych?), dalej — folklor regionalny, piękne wyroby ludowe, zwłaszcza tkaniny, które mogą turyści oglądać na kiermaszu Ś.Ś. Piotra i Pawła oraz na „Kaziuka“. W tym roku np., dzięki staraniom Wileńskiego Związku Propagandy i Turystyki, przybyło na „Kaziuka“ około 2.000 do 3.000 osób z całej Polski.

I co mamy jeszcze, co by mogło turystę zachęcać do przybywania do nas — do odwiedzania nas po-

raz drugi i trzeci? Może regionalna nędza i zaniedbanie? Kocie łby?

Brak wody bieżącej, nawet w „pierwszorzędnych“ hotelach? Brak niemal zupełny (przepraszam za temat) szaleństw miejskich? A może też wystawy sklepów wileńskich, jakże często przedstawiające bezładny chaos różnych towarów, rzuconych byle jak, bez gustu i estetyki, a oglądanych przez witrynę nie raz od dawien dawna nie mytą. Może szyldy, krzyzące brzydactwa, rojące się niejednokrotnie od błędów? Mój Boże, prawda, że „biedność nie porok“, ale niechlujstwo — to niewątpliwie „bolszoje swinstwo“, jakby można powiedzieć, trawestując znane powiedzonko rosyjskie.

Te regionalne „osobliwości“, o których ostatnio wspominam, stanowiące skutek i doskonały odpowiednik ośpałości i indolencji naszego przeciętnego wilnianina — nikogo nie zachęca do ponownego przyjazdu do nas. Przeciwnie, turysta, raz tu przybyły — może jeszcze innym przyjazd odradzić, gdy go te miłe wileńskie właściwości zrażą. To też należy z nimi walczyć.

Nasz Zarząd Miejski z dumą nieraz podkreśla, że dzięki oszczędnej gospodarce niema długów, czy też ma ich niewiele. Wilno nie ma długów, ale za to urządzenia miejskie na poziomie niższym od jakiegoś Obrzycka czy Jutrosina (1—2 tys. mieszk.) w Wielkopolsce. A może lepiej byłoby mieć nieco więcej długów, ale za to lepsze bruki oraz szereg innych urządzeń, niezbędnych w kulturalnym mieście, predystynowanym na wielki ośrodek turystyczny, a pretendującym do tytułu: „królewskiego i stołecznego“? Wjazd do miasta wstrętną, źle zabrukowaną, z fatalnymi chodnikami — ulicą Bazyljańską, czy Kolejową, widok znajdującego się tyle lat w stanie rozpaczliwej ruiny — pięknego Ratusza — wystarczą, by już na wstępie turysta wyrobił sobie jaknajgorszą opinię o Wilnie. I jeszcze jedna charakterystyczna cyferka. Na Wileński Związek Propagandy Turystycznej, który ma za zadanie nie tylko propagandę Wilna i Wileńszczyzny, ale i przyjmowanie rzesz turystów — Magistrat wileński daje ze swego, prawda, że skromnego — ale, bądź co bądź, 5½-miljonowego budżetu — ile? Półtora tys. złotych! (w r. 1935; w tem 500 zł. w postaci należności za prace drukarskie, wykonane dla Z. P. T. przez drukarnię miejską). Zresztą inne samorządy terytorjalne Wileńszczyzny jeszcze mniej dbają o turystykę i albo do Związku wcale nie należą (w większości wypadków; nawet nadnaroczańską gmina Kobylnik!), albo płacą po 50—75 zł. Oczywiście to nie usprawiedliwia Wilna. Ale często się u nas lubi wszystko zwać na Magistrat wileński.

Społeczeństwo wileńskie ma pod tym względem o wiele więcej grzechów od swego Magistratu.

Niechęć do inowacyj, ulepszeń, nawet takich, co nie nie kosztują, wstręt do estetyki (w mieście o tak pięknych kościołach!), wreszcie niechęć do współdziałania nad ożywieniem turystyki do Wilna i nad wytworzeniem tu dla turysty odpowiednich dogodnych i miłych warunków pobytu — są dla naszego wilnianina charakterystyczne. Przejawiają się też w stosunku do wspomnianego już Związku Prop. Turystycznej, który boryka się od roku z brakiem środków i obojętności społeczeństwa, mimo to jednak, zdołał z trudem, i wydać szereg plakatów oraz ulotek o Wilnie, które w zgorą 20 tys. egzemplarzy po-

Polsce rozpowszechnił, i szereg imprez zorganizować („Kaziuki“, sporty zimowe i t. p.) i obsłużył 12 tysięcy turystów, (którzyby, bez Związku, blakali się bezradnie po mieście, jak to dawniej bywało); propagował Wilno w prasie i przez radio, starał się o różne ulgi i udogodnienia przejazdowe dla przybywających do nas (szło to nieraz, jak z kamienia) i ściągnął do nas liczne wycieczki. Pewnie, że przy trudnych warunkach pracy i braku pieniędzy — tu i owdzie były potknięcia, to i owo zrobiono niezbyt udolnie, ale w wyniku ogólnym — śmiało rzec można, że zrobiono niemało. Z. P. T. wykazał swą żywotność. Twierdzę, że zrobiono stosunkowo więcej, niż, o ileż bogatszy — takż Związek w stolicy. Nie zawaham się przed twierdzeniem, że w znacznej mierze dzięki Związkowi — ruch turystyczny do Wilna w r. 1935, mimo niesprzyjających w tym roku warunków (żałoba narodowa i gremjalne pielgrzymki do Krakowa) — wzmożł się znacznie. Według danych kolei, same mi tylko pociągami popularnymi i w większych grupach — przyjechało do Wilna 45 tysięcy turystów. A przecie ponadto byli jeszcze turyści indywidualni i grupy małe.

Zdawałoby się, że tak ważną dla Wilna organizację, w której owocnej pracy zainteresowane być winno kulturalne i gospodarcze Wilno, poprzą wilnianie wydatnie. Skąd znowu! Do Związku należyzaledwie 16 firm i organizacji z Wilna w tem tylko 1 hotel, ani jedna restauracja. Ponadto należy do Związku 36 osób prywatnych, z pośród mieszkańców Wilna. Pozostali członkowie — są z terenu województwa (zresztą nieliczni!). A że nowa organizacja powstała, działa i rusza się — zdenerwowało to szeregi innych, „poważnych“, w śnie głębokim dotąd

pograżonych — lub zazdrosnych (o nieswoje) — i padło hasło: „hajże na Soplicę!“. Wiele energii musiał Z. P. T. poświęcić na pokonywanie trudności z tej „szlachetnej rywalizacji“ wynikłych. A prasa? Owszem znalazło się grono dziennikarzy i pism, które wykazało wiele zrozumienia dla sprawy propagandy turystycznej Wilna. Niestety jednak w części prasy (miejscowej i t. zw. „afiljowanej“) „wykorzystano“ podjęte przez Związek prace i wysiłki, by zrobić z tej organizacji „koziółka ofiarnego“ ku ucieście czytelników, przedmiot nierzeczowej, jałowej i demagogicznej krytyki. Owszem, krytyka — to rzecz dobra! Prostuje ścieżki, dopinguje. Ale nie należy „wylewać z wanny dziecka razem z wodą“. Zohydzanie jedynej czynnej instytucji, propagującej turystykę do Wilna i ją organizującej — było prowadzone tak, że zniechęcać musiało do przyjeżdżania do Wilna wogóle. No a zresztą krytykować — najłatwiej, znacznie trudniej natomiast pracować. Dużo chętnych do krytyki, a mało do pracy!

Nie zamierzam tu bynajmniej wyczerpać tematów z dziedziny turystyki wileńskiej. Wspomnę tylko, że bardzo ciężko jest nieraz coś dla Wilna w tej dziedzinie wywalczyć na terenie Warszawy (ulgi, pociągi popularne, udogodnienia), że nieraz *bici jesteśmy przez różne centrale i przez różne ośrodki. Tembardziej zgubny jest defetyzm*. Tem więcej potrzebne są: czynne zainteresowanie się, czynna praca wszystkich czynników: samorządu, różnych organizacji, sportu, prasy, firm i osób prywatnych, zmierzająca do ożywienia turystyki do Wilna i do dostosowania do potrzeb turystycznych naszego miasta i dzielnicy.

A. Tański.

Zdobnictwo ludowe Wileńszczyzny

Zdobnictwo ludowe ziemi wileńskiej, mimo, że wyróżnia się odrębnością i bogactwem, nie zachwyca odrazu, jak np. wyroby huculskie, łowickie, góralskie, czy krakowskie. Przyczynia się tu w dużej mierze zanik stroju ludowego, który przedewszystkiem rzuca się w oczy i zwraca uwagę przybysza. W ostatnich bowiem dziesiątkach lat, zanikł on prawie zupełnie, a nie był nigdy tak bogaty i kolorowy, jak w niektórych dzielnicach Polski. Na pielgrzymkach, jarmarkach i „kiermaszach“ spotykamy szary, smutny tłum, przerywany gdzie niegdzie jaskrawszą plamą kramikowej bluzki i błyszczących szklanych paciorków. Od czasu do czasu mieni się samodziół spódnicy i fartucha, lub barwna krajka własnej roboty, opasująca kożuch, lub zgrzebną koszulę. Nad całością króluje niby łąka białych kwiatów, las mlecznych szali i chusteczek, usianych nikłym ornamentem.

Pół naszych nie weselą czerwone maki, a chaty nie śmieją się do słońca jasnymi ścianami. Nas wychowały czarne lasy, błękitne jeziora i niebo pochmurne przez większą część roku. Toteż lud wileński „nie zwykł się kochać w krasie“, a odpowiadają mu barwy przytłumione i stonowane, a formy proste i geometryczne. Wyroby człowieka tutejszego nie oczarowują odrazu, ale powoli przekonują umia-

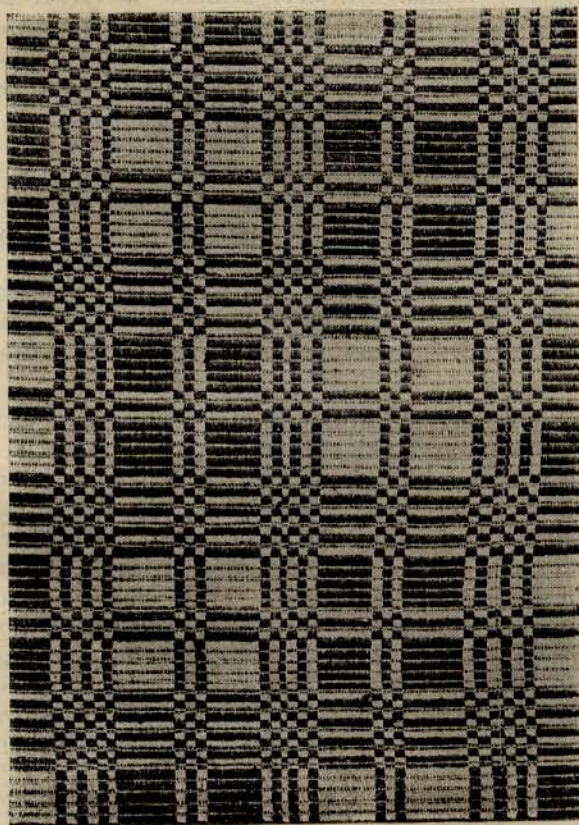
rem, logiką układu, szlachetnością linii, kształtu i kolorów, wyzyskaniem tworzywa i narzędzia.

Ornamentyka wzbogacza i upiększa, ale nie tłumi celowości przedmiotu. Formy tu spotykane są często skończone i skryształizowane, a etnografowie dopatrują się ich pochodzenia z zamierzchłych czasów pogańskich. Wiele z nich powstało później pod wpływem krzyżujących się prądów w sztuce warstw wyższych, które przez dwór, czy kościół dotarły na wieś. Zostały jednak tu odpowiednio zasymilowane i nabrały cech istotnych dla stylu ludowego. Wzory więc, urabiały się przez wieki, a drogą tradycji przechodziły z ojca na syna, stąd pochodzi ich „skończoność“ i „rasowość“.

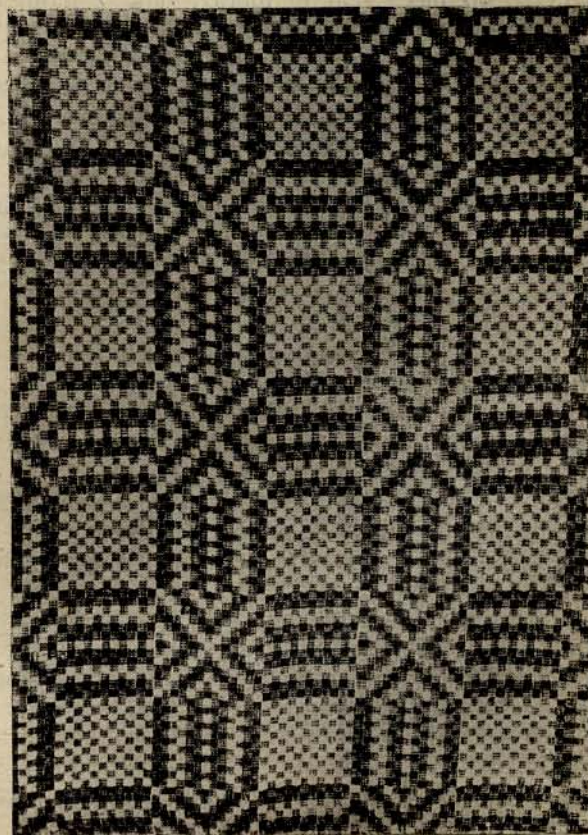
Zdobnictwo tutejsze wypowiedziało się najbujniej w tkactwie i wyrobach z drzewa.

Przyjrzyjmy się dywanom i „radziuszkom“ wykonywanym w każdej prawie chacie wieśniaczej. Wzory kwitają tu wprost na warsztacie i wynikają z wzajemnego przenikania się nici wątku i osnowy. Mamy tu różne sploty, poczynawszy od najprostszych płóciennych, dających efekty pasiakowo-kra-ciaste, do bardziej złożonych rzadkowych i wielonicielnicowych. Jako motywy ukazują się: pasy, kwadraty, elipsy, koła, gwiazdy, jodełki i t. d. Każdy z nich opiera się na jednej lub dwu osiach symetrii,

na osiach i przekątnych i t. p. Jednym słowem posiadają one charakter wybitnie symetryczny. Motywy te układają się dalej w powtarzające się rytmicznie wzory, ciągnące się w nieskończoność. Kontrast wypowiada się tu zarówno w formie, jak kolorystyce.



wy bujne i rozgałęzione, ręczniki mają wzory drobniejsze, podkreślające często wydłużony charakter przedmiotu. Ubraniowe zaś posiadają drobną kratkę, paski lub jodełkę. Do tkanin charakterystycznych dla Wileńszczyzny zaliczamy także krajki „jostami“



Dymki ludowe z Wileńszczyzny.

A więc: w układach pasiakowych mamy paski wąskie, obok szerokich, w kostkowych — kwadraty małe przy wielkich. We wzorach o układzie jadalnym spotykamy się z przeciwstawieniem kierunku, w tkaninach o układzie nicielnicowym motywy pełne, masywne są otoczone kształtami o charakterze raczej liniowym. We wszystkich — czynnikiem silnie kontrastowym jest przeciwstawienie jednolitego tła, złożonym o urozmaiconej formie motywom.

Wreszcie, zasadniczą rolę odgrywa tu kolorystyka. Mamy zestawienia ciemno-jasne (np. czarny i biały, ciemnomalinowy i złocisty, mocny zielony i szary, ton lnu bielonego z niebielonym i t. d.) i zimno-ciepłe (ciemny szafir i złocisty, granatowy i jasny malinowy i t. d.). Tępy odznaczają się wszędzie powagą i skupieniem, są szlachetne i surowe zarazem. W zestawieniu nie odrzucają się od siebie jaskrawością plamy, jak np. w pasiaku łowickim, lub kurpiowskim, ale łączą się stopniowo dzięki użyciu półtonów.

Cecha ta widoczną jest zwłaszcza w „dymkach“ (tkaniny wielonicielnicowe), w których dwie barwy, przeplatając się odpowiednio w tle, dają ton pośredni, harmonizujący. I tak np. w tkaninie czarno-białej widzimy kolor trzeci — szary, albo w szafirowo-złocistej — trzeci — zielonkawy.

Zarówno formą, jak i barwą odpowiadają one przeznaczeniu. A więc wzory na kapach i dywanach rozwijają się w duże płaszczyzny i posiadają moty-

zy litewska zwane. Motywy tu spotykane posiadają charakter zupełnie abstrakcyjny lub symboliczny, nacoby często wskazywała raczej nazwa, niż samo ujęcie, np. „Syrki“, „grabelki“, „lilje“ i t. d. Z tem samem zjawiskiem zresztą mamy do czynienia i w innych technikach tkackich. Mamy wszak: „kropkę wody“, „dębowe liście“ i t. d. Jednakże przy nazwie naturalistycznej, motywy posiadają charakter wybitnie geometryczny, narzędziowy. Wszystkie te wyroby nie mają złej strony, bo wzór występuje równie czytelnie na prawej, jak i na lewej stronie.

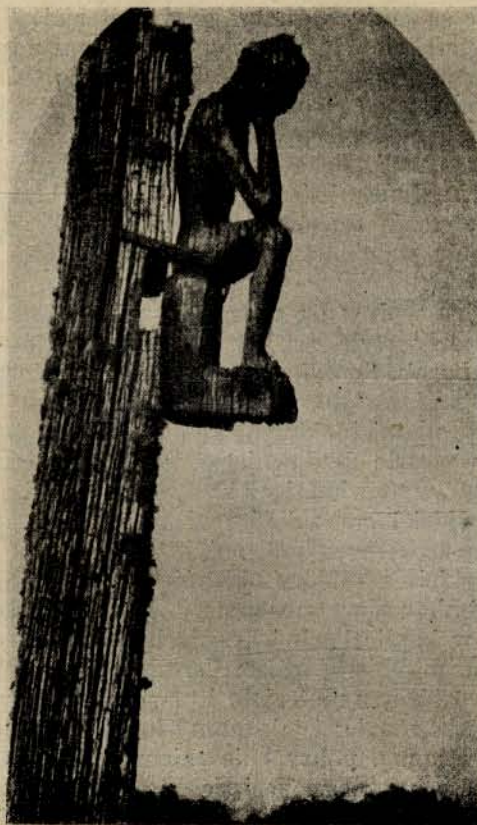
Tkaniny pochodzenia dawniejszego barwiono roślinnie, np. młode liście brzozy, korą olchową i t. p., obecnie największem powodzeniem cieszą się barwniki anilinowe, o kolorach szablonowych, ostre, szybko płowiejące, co ujemnie odbija się na wartości artystycznej ornamentu. W ostatnich czasach Bazy Przemysłu Ludowego, rozpowszechniają z dobrym skutkiem barwniki chemiczne, t. zw. „indanthreny“.

Drugim działem, który rozwinął się wspaniale, na kresach półn.-wsch. Rzeczypospolitej, jest zdobnictwo w drzewie. Posiada ono te same cechy kompozycyjne co tkactwo: umiar, logikę, celowość, opieranie motywami prostymi, geometrycznymi lub symbolicznymi, wynikającymi z narzędzia i materiału. Jako punkt wyjścia mamy oparcie się na symetrię i kontrastach. Wiele z nich posiada formy bardzo stare, których pochodzenia doszukują się na mo-

RZEŻBA LUDOWA NA WILEŃSZCZYŹNIE



Krzyż przydrożny



Smutkelis

STROJE KOBIEȚ NA WILEŃSZCZYŹNIE



Wieśniaczka

Rzeźbił T. Godziszewski
Stroje H. Bodzińska
Fot. A. Dykij



Przekupka miejska

Rzeźbił T. Godziszewski
Stroje H. Bodzińska
Fot. A. Dykij

cy wykopalisk ceramiki — w czasach pogańskich. Ornamenty w drzewie podzielić możemy na: dłutowe, które są jakby wytłaczane w materiale i piłowe, dające w efekcie ażury i zęby. Motywami najczęściej spotykanymi będą kwadraty, koła, trójkąty i t. d. — najpospolitszym zaś okaże się może koło z wpisaną 6-ramienną gwiazdą, powstała z przecinania się wzajemnego półkoli. Poza tym widzimy motywy symboliczne, jak: słońce, księżyc, ptak, koń — które to znów sięgają czasów pogańskich (kult siły przyrody; konia stawiano na grobie mężczyzny, ptaka — kobiety).

Pewien wpływ na charakter zdobnictwa w drzewie wywarły style warstw wyższych zwłaszcza renesans i barok. Spotykamy się wtedy z naturalistycznymi festami kwiatów, sylwetkami aniołów z tębami, insigniami Męki Pańskiej i t. d. Poza tym silny wpływ wywarło budownictwo wielkorosyjskie. Styl „daczowy“ wypowiedziany się koronkowością w drzewie i trójdzielnym zakończeniem krzyżów. Stąd to pochodzą rzekomo „naliczniki“ okienne w chatkach włościańskich, rzeźbione okiennice, ganeczki i t. d.

Zdobnictwo w tym materiale wypowiedziało się głównie w kapliczkach i krzyżach przydrożnych. Pocięły one przybierać różne kształty, jakie tylko wyobraźnia twórcy z materiału i prymitywnych narzędzi wyzwarować mogła: i tak mamy kapliczki jedno, dwu i cztero stronne, pokryte daszkiem o kilkunastu nieraz ściankach, czasem posiada ona kilka kondygnacji (zwykle 3) kiedy indziej widzimy wieżyczki, frontony i promienie. Bywa ona nawet oszklona i posiada okienka.

Krzyże cechuje różnorodność zakończeń ramion. Rozszerzają się one w kształt liścia konicyny, w koła toczono, ostrosłupy i t. p. Na przecięciu ramion wisi często skrzynka z Chrystusem i Świętymi, czasami redukuje się ona do płaskiego, bardzo ozdobnego prostokąta, serca lub innej płaskiej formy geometrycznej.

Na uwagę zasługują także dekoracyjne daszki blaszane nad Męką Pańską i żelazne zakończenia krzyżów i kapliczek. Są to dzieła miejscowych kowali. Posiadają one wogóle cechy charakterystyczne dla zdobnictwa ludowego Wileńszczyzny — formy proste, geometryczne — abstrakcyjne, lub symboliczne — wynikające z materiału.

Pozatem, jakby na potwierdzenie powiedzenia Norwida, że: „Pożyteczne nigdy nie jest samo i piękne wchodzi nie pytając bramą“, lud zdobi otaczające go przedmioty codziennego użytku. Widzimy więc dekoracyjne pralki i prześclice, dziadki na orzechy, papierošnice, kufry, garnki i misy. Mamy dalej prymitywne zabawki, naiwnie zdobione, a wykonane zwykle z drzewa lub gliny.

Pozatem zamięłowanie do piękna wypowiada się w „wystrzygankach“ z kolorowego papieru, zawieszanych na ścianach i w pajakach wykonanych misternie ze słomek powiązanych w sześciany i przybranych na rogach kwiatkami z kolorowej bibułki.

Przed Bożem Narodzeniem wyrabia się „pajaki“ ze słomy w kształcie gwiazdy. (Można je wtedy nabyć na rynku lukiskim). W niektórych okolicach wieszają na Zielone Świąta ptaszka wyobrażającego Ducha Św., a wykonanego ze „strużek“ skorupki od jaj i piórek ptactwa domowego. W niedzielę Palmową place przed kościołami wileńskimi zakwitają barwnym ogrodem palm wielkanocnych.

Na ich rozpowszechnienie się wpływał podobno prof. Ruszczyk (zwan są nawet ruszczykówkami), w charakterze swym są jednak całkiem ludowe. Najstarsze z nich, są to długie, okrągłe wałki składające się pierścieni nieśmiertelników w dwu lub trzech barwach. Dalej idą palmy szerokie i płaskie dające bardziej urozmaicone pole do pomysłowości, zarówno w tworzyw, jak formie. (Mamy tu większe bogactwo suchych traw i kwiatów, a nawet jagody).

Ostatni ich rodzaj wreszcie, to wyroby ludu miejskiego. Wyglądają one jak bukiety sztucznych kwiatów imitujących naturę. Widzimy tu wykonane z bibułki, stearyny i drutu — maki, lilje, róże i t. p.

Ozdobą naszych jarmarków, zwłaszcza „kiermaszu na Kaziuka“ stanowią serca z miodowego piernika. Wykonują je „mieszczki“, często starowierki z Zarzecza. Posiadają one różne wielkości, ornamenty i napisy, często bardzo „regionalne“ (nieortograficzne i niegramatyczne) o treści sentymentalnej.

Wyroby te w porównaniu z „autentycznie“ ludowymi, nie posiadają zwartej kompozycji, logiki układu i szlachetnej prostoty.

Helena Trzebińska - Bodzińska.



Z kiermaszu
na św. Kazimierza

Wiersz pesymistyczny

Gwiazd nie ulowisz na smycz,
próżno mówca rękoma trzepotał.
Znamy krótką komendę: w lewo odlicz
i marsz, beznadziejny marsz, wśród błota.

Serca niesiemy do witryn na sprzedaż,
krokami poganiamy bezbrzeżny smutek,
w kałużach się nurzasz, w kałużach,
do których ból z twoich oczu ściekł.

Twarze pokrywa szron podłości,
wieczór pomalowany na biel księżycą kreda.
O świetle przyjdą ludzie prosić
i nikomu niczego zazdrościć nie będą.

Nogi — kilogramy przestrzeni,
przepaścią — cały glob
temu,
co pewny, że się nic nie zmieni,
na rozdrożu rozpaczając ukląkł.

W śpianionych rzekach wrzela woda,
a od olszaniaków szedł chłód.

Biec z innymi nie zdoła
ten, kto zwałony na zawsze jest z nóg.

Oto spada pustka nadchodzących lat
— nie my pierwsi —
jak na balu balon,
jak papierowy biały kwiat
z powiędłych piersi.

Zostaniesz sam skopany, zapomniany
— wytarty i rozdarty frak.
W talji kart grających niema damy
ulicznicy jednej brak.

Na baczność siebie ustawisz z czworaków,
by ssać słodycz minionych chwil.
Dniu monotonny jednaki
przeszłość do ust nachyl.

Nam,
ciągle smutnym,
zapylm łykami czarnej kawy i czystej
trzeba więcej chłopięcej zabawy
w dzieciństwo.

ANATOL MIKUŁKO.

Rzecz nieskończona

Sztuka w 3-ach aktach z epilogiem

c. d.

SCENA VIII.

LASOCKI. (*Wchodzi*). A, kolega w świetnym humorze. Pani to niewątpliwie zasługa. Umie pani rozweselić.

IZA. Bardzo niewiele trzeba było, aby rozweselić pana Śliskiego.

ŚLISKI. Naprawdę niewiele. Sam widok tak urodziwej istoty może wzruszyć największego mruka i przekonać o radości życia największego sceptyka. Zostawię was samych na chwilę. Obowiązki służbowe mnie wzywają. (*Wychodzi*).

SCENA IX.

LASOCKI. Wydaje mi się, że to całe spotkanie z panią — to sen, ale sen, który ma dla mnie przełomowe znaczenie.

IZA. Może to ma i przełomowe znaczenie dla pana. Nie traf mnie tu sprowadza.

LASOCKI. Więc cóż?

IZA. Wpierw niech mi pan powie, czy ma pan do mnie zaufanie?

LASOCKI. Wbrew mojej pedantycznej logice, mam to irracjonalne, bezwzględne zaufanie.

IZA. To dobrze. Ja wiem, co Śliski i ojciec proponowali panu. Oni nie są warci zaufania. Ich idee to tylko słowa. Ja ich znam, ale ja pokieruję sprawą, żeby ich idee się ziściły. Czy pan mnie ufa?

LASOCKI. Bez zastrzeżeń. Ale się obawiam, że ani ja, ani pani nie znamy się na polityce.

IZA. Nie święci garnki lepią. Kto chce walczyć, musi się wprawdzie nauczyć bronią władać. My nie mamy czasu na naukę, więc sama walka będzie naszym treningiem. Czy zgoda?

LASOCKI. Ależ zgoda, mój wodzu.

IZA. A teraz wymagam bezwzględnej karności, bo nie zawsze będę mogła umotywować swoje rozkazy.

SCENA X.

ŚLISKI. (*Wchodzi*). Pozwoli pani, że ją odprowadzę.

IZA. Nie, nie. Przecież widziałam u pana na biurku tyle spraw. Pan Lasocki mówił mi przed chwilą, że już na dziś wszystko pozałatwiał. On pana wyreczy.

ŚLISKI. Ależ pani jego nie zna. Ten człowiek nadewszystko ceni obowiązek, a dziś musi jeszcze zlustrować aptekę, jak to codzień czyni... Sprawiałaby mu pani przykrość odrywając od... obowiązku.

LASOCKI. Ależ kolego. Apteka już nieczynna. Dokończcie swoich spraw bez przeszkody. A ja z przyjemnością będę towarzyszył pani w drodze powrotnej. Jest to właśnie godzina mego codziennego... odpoczynku.

ŚLISKI. (*Ironicznie zdaleka kłania się na pożegnanie Izie, po ich wyjściu spostrzega na podłodze jej chusteczkę, szarpie, rzuca na podłogę i depce*).

SCENA XI.

ŚLISKI. *(Zdenerwowany — chodzi zwolna od okna do okna, od sprzętu do sprzętu gwiżdżąc, po chwili dzwoni, wchodzi woźny. Śliski udaje, że go nie spostrzegą).*

WOŹNY. Czy pan mnie potrzebuje?

ŚLISKI. Ciebie? — Nie. Ale twego chłopskiego rozumu *(po pauzie)*. Chcę z tobą pomówić. Czyś ty stary miał kiedy doczynienie z kobietą?

WOŹNY. A jakże miałem.

ŚLISKI. Dawno?

WOŹNY. Dziś.

ŚLISKI. Co? Ilesz ty masz lat?

WOŹNY. 69.

ŚLISKI. I jeszcze chodzisz do kobiety?

WOŹNY. Ja nie chodzę. To ona do mnie przysła.

ŚLISKI. Kto?

WOŹNY. Żona dozorca.

ŚLISKI. No i co?

WOŹNY. No i wyprła mnie po mordzie.

ŚLISKI. Za co?

WOŹNY. Za to, że my — t. j. ja i dozorca — wczoraj dwie litrowe flaszki wypróżnili. Ona mówi, że cztery, — ale to nieprawda. Pobożyć się mogę, że tylko dwie. Ona mówi, że ja jejnego męża namówił, — a ja pobożyć się mogę, że to on mnie ciągnął.

ŚLISKI. Głupis. Nie oto pytam. Czyś się kiedy kochał w kobiecie.

WOŹNY. Czy kochał? A jakże. Jaż nie ksiądz.

ŚLISKI. Jak to było?

WOŹNY. Dobrze było, przyjemnie.

ŚLISKI. I czym się skończyło.

WOŹNY. Nu wiadomo czym. — Ślub a potem chrzciny. Nie możnaż tak wytrzymać. Coraz więcej nas rozbitrało. Przekonał się ja, że dziewczyna cnotliwa, — przed ślubem tak i całować się dużo nie dawała, — tak czegoż jeszcze czekać? Wzioł i ożenił się.

ŚLISKI. Długoście ze sobą żyli?

WOŹNY. Ot, lat musi jakich trzydzieści pięć. Byliby i dłużej żyli, żeby...

ŚLISKI. Żeby co?

WOŹNY. Żeby nieboszczka nie umarła.

ŚLISKI. Szczęśliwieście byli?

WOŹNY. Ot, różnie bywało. Jak kiedy bieda się zdarzyła, zarobku nie było, to i popłakali, ale najczęściej, Bogu dzięki, zawsze jakaś robota się znalazła. Długo nie biedowali.

ŚLISKI. A czy kochaliście się?

WOŹNY. Wol, póki młodość i ochota do kochania była, tak kochali się, — a potem to już kuźdy sobie spał. Ale żyli друżnie i po bożemu.

ŚLISKI. A nie zdradzałeś żony?

WOŹNY. Daj pan spokój. To panska robota. W naszym biednym stanie to i myśli takich mieć niema czasu. To panowie — tak on przyjdzie do biura, popiszy godzinka, czy dwie, a potem tak tylko i lata, szukając, gdzieby tu jaka świeża dziewczyna, da nie zanadto cnotliwa. A jak tak bywało, że i 20 godzin na doba pracował, a 12 tak już najmniej.

ŚLISKI. A jak ty myślisz: gdybym się z Izą ożenił — bylibyśmy szczęśliwi.

WOŹNY. Myślę, że nie.

ŚLISKI. Dlaczego?

WOŹNY. Teraz już późno.

ŚLISKI. Myślisz, że mi ją Lasocki odbije?

WOŹNY. Co tam pan Lasocki. — Pan żesz sam mnie mówił i o kadecie, i o inżynierze, i o pułkowniku. — Pan sam mówił, że to i dobrze, bo łatwiej pójdzie, jak pan ją zechcesz rzucić. A teraz ot ona znowu znalazła sobie nowa ofiara. Już pan lepiej szukaj sobie kogo na zastępstwo.

ŚLISKI. *(Odwrócony do okna, mówi jakby do siebie)*. Kiedy to nie tak łatwo. Miewałem kochanki, kiedy mnie Iza zaczynała nudzić, ale potem wracałem do niej, jakby nanowo od początku zakochany. A teraz to ja jej wcale, ani na chwilę nie chcę porzucić. Słuchaj Janie, — wiesz, jak dobrze płacę za podobne usługi. Pilnuj ich, a gdyby co do czego, to przeszkadzaj, — rozumiesz?

WOŹNY. W naszym biednym stanie tak kuźdy zarobek dobry. Ale ja stary. — Pilnować będę, — ale jak zasnę, a oni w nocy uchitrzą się, tak już nie gniewaj się pan. A według mojego głupiego rozumu tak wypada, żeby się pan nie żenił. Machnij pan lepiej na nią ręką.

ŚLISKI. Nie mogę. Popełniłem straszny błąd, — sam ja zdeprawowałem. Myślałem, że ona dla mnie będzie tem, czem było tyle innych kobiet, a tymczasem tyle już lat, a namiętność nie wygasa.

WOŹNY. Wola pańska, — tylko ona już swojego narowu nie zmieni. Jak już baba pokosztuje chleba z różnych pieców, tak jo tylko sama śmierć naprawi.

ŚLISKI. Dość, już dość. — Zabierasz się do psychologii, w której chłopski rozum nie wystarcza. Masz tu zadatek na twoje nowe usługi.

WOŹNY. Dziękuję. Wola pańska. Kto mnie płaci, temu służę. Może list do pani mecenasowej zanieść, żeby pocieszyć przyszła. Ona teraz po powrocie z Warszawy mocno odmłodniawszy i na włosach i na gębusi. Dawno już pan z nią kochania nie rozprowadzał.

ŚLISKI. Nie trzeba.

WOŹNY. *(Wzrusza ramionami i wychodzi)*.

SCENA XII.

ŚLISKI. *(Nerwowo pali papierosa)*.

BURMISTRZ. *(Wchodząc)* Niema pana Lasockiego. A obiecał czekać na mnie.

ŚLISKI. Poszedł odprowadzić pańską córkę.

BURMISTRZ. Moją córkę? Iza tu była?

ŚLISKI. Była. Widział pan ją przecież, jak weszła.

BURMISTRZ. Ta dama — to ona? Więc to consyljum jej miało dotyczyć? Na miłość Boską, co jej jest?

ŚLISKI. Ma zwykłe dolegliwości kobiece.

BURMISTRZ. Czy to nie grozi życiu?

ŚLISKI. O, tak. Może zmienić cały jego kierunek.

BURMISTRZ. Czyście panowie już ustalili diagnozę?

ŚLISKI. Tak. Pańska córka choruje na ostre podniecenie ciekawości i zapalenie wybujałego temperamentu...

BURMISTRZ. Uf!... Nastraszył mnie pan. Czego ona tu właściwie przychodziła?

ŚLISKI. Aby zaintrygować kolegę Lasockiego.

BURMISTRZ. I udało się jej?

ŚLISKI. Owszem.

BURMISTRZ. Nieoceniona dziewczyna. Przecież to może nam ułatwić robotę.

ŚLISKI. Już ułatwiło. Czy pan myśli, że bez tego namówiłby pan Lasockiego do udziału w pracy politycznej? Jest to z jego strony wielkie ustępstwo.

BURMISTRZ. Więc on jest zakochany w Izie?

ŚLISKI. Zakochany? — może i nie, — ale widzi mi się, że ten człowiek ma wielki temperament i przez niewiasty można na niego wpłynąć.

BURMISTRZ. Doskonale. Musimy wtajemniczyć Izę w nasze plany.

ŚLISKI. Ona już się sama wtajemniczyła. Ale, co gorsze, Iza sama zaczyna się durzyć w Lasockim.

BURMISTRZ. A to fraszka. To przeminie, jak przemęło tyle innych flirtów.

ŚLISKI. A jeżeli nie przeminie?

BURMISTRZ. To też nie strasznego. Ostatecznie Lasocki jest partją zupełnie odpowiednią dla niej.

ŚLISKI. Pan zupełnie zapomina, że tu wchodzi w grę jeszcze i moja osoba.

BURMISTRZ. Przecież ostatecznie pan niemal, że cofnął swoje oświadczenia. Mówił mi pan, że warunki materialne nie pozwalają ci się żenić, a nie chcesz zmuszać Izę, aby narażała na niebezpieczeństwo swój ognisty temperament przez zbyt długie oczekiwanie.

ŚLISKI. Doszedłem do wniosku, że temu niebezpieczeństwu można zaradzić, że ostatecznie mogę się ożenić i że... Iza jest mi narazie w życiu gwałtownie potrzebna.

BURMISTRZ. (Z oburzeniem). Ależ proszę pana, ja nie mogę pozwolić na takie traktowanie mojej córki. To nie jakiś martwy towar, to żywy...

ŚLISKI. — Towar.

BURMISTRZ. Człowiek. Wreszcie to i mojej ojcowskiej ambicji ubliża.

ŚLISKI. Zanim dobrze znam pańską ojcowską ambicję, żebym się miał z nią liczyć. Niepotrzebnie pan się do niej odwołuje. Między nami wszystko musi być do bezczelności szczerze, — jak dotychczas bywało. Tyle czasu sprzedawał mi pan córkę, dlaczegożby tak nadal być nie miało. Zresztą tyle wspólnych spraw nas wiąże, w tyle dwulicowych spraw wmieszał pan nawet Izę, że dziś jej, mój i pański honor — to jedno. Lepiej go na światło nie wystawiać. Zresztą musi pan czynić to, co panu podyktuje.

BURMISTRZ. Pan chce mnie zgubić?

ŚLISKI. Nie. Tylko chcę wybić panu z głowy ambicję.

BURMISTRZ. Ostatecznie zrezygnuję z ambicji.

ŚLISKI. Więc zaręczyny nazajutrz po wyborach?

BURMISTRZ. Dlaczego koniecznie nazajutrz po wyborach?

ŚLISKI. Bo wtedy Lasocki już nam będzie niepotrzebny. Ale to człowiek porywczy. Mogłoby się to skończyć tragicznie. Trzeba mu nieco zneutralizować uczucie względem Izy.

BURMISTRZ. Ale jak?

ŚLISKI. Trzeba wprowadzić w grę inną kobietę.

BURMISTRZ. Może mecenasową?

ŚLISKI. Daj spokój. — On jest za mądry na to, aby się zaciekać przeciętną heterą.

BURMISTRZ. Nie znam w naszym mieście przystojniejszej niewiasty nad mecenasową.

ŚLISKI. Owszem jest jedna kobieta, która do tego celu się nadaje.

BURMISTRZ. Kto?

ŚLISKI. Pańska żona.

BURMISTRZ. Nie, nie, nie, — na to się nie godzę. Czuje moja dusza, że pan mi nieszczęście do domu chcesz wprowadzić.

ŚLISKI. A czy teraz w pańskim domu kwitnie szczęście? Czy pańska żona jest szczęśliwa?

BURMISTRZ. Ale to nie z mojej winy. Jak Boga kocham, nie z mojej winy. Ja zrobiłem wszystko, co mogłem, aby ją uszczęśliwić. I stroje i dostatek dałem, bale gotów byłem dla niej wyprawiać. Cóż ja poradzę, gdy ona wszystkim gardzi, i mnie maltretuje?

ŚLISKI. Zbytecznie mi to pan objaśnia. — Doskonale wiem, co się u nas święci.

BURMISTRZ. Cóż ja mam robić? Poradź mi pan, co ja mam robić?

ŚLISKI. Po taką radę udaj się pan do chiromanty. Mnie o co innego chodzi. Nieszczęście w pańskim domu nie zwiększy się ani na jotę, gdy pańska żona i Lasocki porozmawiają sobie trochę. Chłopak przy tej okazji pozna, że oprócz Izy są inne niepospolite kobiety innego gatunku.

BURMISTRZ. Boże chroń mnie od czegoś podobnego, abym sam własną rodzinę rujnował, sam ogień pod własne ściany podkładał.

ŚLISKI. Rodziny pan nie zrujnuje, bo jej właściwie i tak nie masz. Rogów pan mieć nie będziesz, bo pańska żona jest pedantycznie moralna. Nie jeden lowelas tego doświadczył. Pańska żona pana nigdy nie zdradzi.

BURMISTRZ. Żeby pan tak mnie wyprorokował, że ona mnie pokocha.

ŚLISKI. Prorokuję panu (*zapala papierosa*) ... że tego nigdy nie będzie.

BURMISTRZ. (*Schyła się jak pod brzemieniem*). A właśnie ...nie będzie, nie będzie, nie będzie.

ŚLISKI. Więc coż pan straci na takim flircie? Wierność małżeńska zostanie zachowana, a niebezpieczeństwo, grożące córce, się zmniejszy. Lasocki będzie się wachał, jak ten osioł między owsem a sianem.

BURMISTRZ. Czy pan sądzi, że Izie grozi niebezpieczeństwo?

ŚLISKI. Oczywiście. Lasocki ją uwiedzie. Ja takich znam. Będzie pan przed ślubem wnuków kołysał.

BURMISTRZ. Boże nas chroń od takiego nieszczęścia. U nas w rodzinie zawsze wszystko było po chrześcijańsku: w terminie i za błogosławieństwem.

ŚLISKI. Więc niech pan zapamięta: dziś wróci pan do domu i napomknie żonie o Lasockim. Jutro odezwie się pan też o nim parę razy, niby mimochodem, jako o dziwaku, który jest fanatykiem obowiązku i lekceważy sobie sprawy erotyczne. Potem go przedstawimy. Reszty oni sami dokonają.

BURMISTRZ. Możebyśmy wogóle naszej bezpartyjnej listy poniechali?

ŚLISKI. W takim razie obydwaj pójdziemy z torbami. Wszystko, co mamy wsadziliśmy w młyn i w tartak parowy. Jeżeli nie przeszkodzimy Tarle w uzyskaniu koncesji na młyn i tartak wodny, zginiemy. Tyle razy tłumaczyłem to panu. Musimy zdobyć wpływy za wszelką cenę. Śliski poseł dokona te-

go, co jest ponad siły Śliskiemu lekarzowi. Zresztą sam pan zobaczy, jak się wówczas będą robiły interesy. Tylko narazie ma pan mnie... słuchać.

BURMISTRZ. *(Słucha, a głowa pochyla mu się coraz niżej. Wkońcu ręce opadają mu gestem rezygnacji).*

(C. d. n.).

Wł. Arcimowicz.

PO MOLJERZE... „ZIELONE PUDŁA“

* * *

W naszym teatrze w mig po Moljerze zajęła miejsce **Arleta i zielone pudła**. Komedja zrobiona z powieści przez Acrement. Dowcip autora zawędrował na prowincję między dziwaków i dziwaczki, jakich mało. Są to jakby fotografie ze staroświeckiego albumu ciotki i babki w zapiętych pod brodę sukniach, w kapeluszach przystrojonych różnym płótnem lub sążnistymi piórami; stryjkowie i dziadkowie w pastorskich surdutach, w kołnierzykach, od których zwisa olbrzymi krawat, zwany plastronem.

Acrement tych dziwologów postawił oko w oko z areynowoczesną panną Arletą i zabawia i śmieszy widzów tą krotchwilną wyprzedzą staroświeczczyzny przez nowe, chwackie, realne pokolenia. Oprócz Arlety jest bowiem Jerzy, dorodny narzeczony, no i urwis szkolny, Veron. Wszyscy oni urządzają sobie pokaz, ze słabostek i anachronicznych przyzwyczajęń czy to czterech starych panien, czy to zaśnieźdzonego nauczyciela, pana Hyacenta. W tej „wymianie wartości“ między starymi i młodymi, między „ojcami i dziećmi“, jakby powiedział Turgieniew, umieścił Acrement główną sprężynę komizmu. Osadził ją niby w zegarze, ozdabiając kominki starodawnych mieszkań. Z komedji sączy szept wiecznie postępującego czasu. W takiej atmosferze ironja łagodnieje, komizm zagnieżdżony wśród nieszkodliwych przeżytków, rozbraja się z satyry. Bo to przecież prowincja francuska: ciche miasteczko, kościół i dobroduszny pleban, poufność między ludźmi, płoteczki, a w piwniczce u starych panien znajduje się stare wino, a w szkole... nauczyciel, pan Hyacent... Kogóż brak? Łatwo zgadnąć: brak aptekarza i czwartego do bridge'a...

Ten gatunek humoru, czepiającego się jak winorośl, starych domków na prowincji, — znany jest dobrze w literaturze francuskiej. Lubią go także Anglicy i Rosjanie.

Arleta jest zębem kółkiem w mechanizmie akcji. Dzięki niej starodawny, grubo zardzewiały, prowincjonalny światek zaczyna się obracać... Jej rączki nakręcają go na ton erotyczny. One kojarzą małżeństwo schnącej już Marji z uschłym Hyacentem. One wreszcie splatują misterną sieć wielu, wielu zdarzeń w zapadłym, ospałym miasteczku. Arleta — to zbiornik ożywej energii, humoru, pomysowości i jednocześnie czupurny sentymencik. Przy ogniu cudzej miłości parzy nieco własne paluszki. Jej przedsiębiorczość jakoś traci swój rozmach, gdy wchodzi w grę sprawy zanadto osobiste: stosunek do Jerzego. Te wahania, to posunięcia taktyczne, te błyski żartu i szczerzego uczucia — **pani Barwińska** odtworzyła zreczenie. Arleta w jej ujęciu była — postacią sceniczną o migotliwej fosforyzującej nastrojowości.

Z postaci, które wprowadził Acrement dadzą się ułożyć pewne grupy. Powiedzmy, że istnieje w tem jakiś pion hierarchiczny. Hierarchję ustalamy według zasług w dziedzinie... budzenia śmiechu przez anachroniczne dziwactwa. Przodują tutaj cztery stare panny Marja, Cecylja, Rozalja i Joanna oraz pan Hyacent. Są to wszystkie oryginały, jak się nam dzisiaj wydaje, przedpotopowej daty. Drepczą wkoło szarych drobiazgów: ta kinchnęła, tamtej zakłuło pod łopatką innej kot przeszedł drogę. Zdarzeniem wprost druzgoczącym jest usunięcie z właściwego miejsca kłęczników w kościele. Te damy są zawsze uroczyste i pedantyczne.

Marję grała **pani Żmijewska**. Wydobyła z postaci, niezwykle malowniczą charakterystyczność. Marja, najmłodsza spośród sióstr, jeszcze nie zakrzepła w zupełną, doskonałą nieruchomość mumi. Jeszcze błakają się w niej pogłosy dalekiego życia. Wprawne ucho Arlety chwytą je. Teraz idzie o to, aby Marję ocalić. Jedyny sposób — to wskrzesić dawną miłość. Tu się zaczyna intryga z panem Hyacentem. Stopnio-

we ośmielanie się Marji do swego uczucia, jej swobodne odruchy w powijkach rutyny, jej szczerłość — ujawnioną w sposób sztuczny — wszystko to pani Żmijewska odtworzyła bardzo plastycznie.

Rolę Cecylji, najstarszej z sióstr — powierzono **pani Jasińskiej**. Tym razem pani Jasińska uniknęła niemiłych przejawów i gwałtownych efektów, którymi zazwyczaj dość szczerze szafuje. Postać Cecylji, despotki i pedantki wyszła, jeśli nie wzorowo, to bądź co bądź poprawnie.

Pani Górską grała Rozalję. Nie powiem, żeby tu był trafny wybór reżysera. Owszem rola wykonana kulturalnie, maska chyba aż nazbyt charakterystyczna, ale młody głos aktorki sprzeczał się z treścią jej powiedzeń. Wkradał się rozzdźwięk o tyle, że ta jedna postać miała charakter wybitnie karykaturalny na tle innych, utrzymanych w tonie matowym. **Pani Zastrzeżyńska** wystąpiła jako Joanna z liczby sióstr — dziwologów. Wykazała w tej roli dużo szczerych i dobrych chęci. Zresztą Joanna rzadko przemawia. No, a sylwetka pani Zastrzeżyńskiej harmonizowała z całością.

Obok starych panien krzątała się leciwa służąca: Ernestynka. **Pani Puchniewska** stworzyła z niej figurę pełną życia. Ta grubaśna kuchareczka, strofująca swoje paniusie, oporna względem Arlety, zdumiona jej zuchwalstwem — posiadała należyty wyraz, należyty aktorską wyprawę.

Pan Hyacent, nauczyciel, kwaterował gdzieś w pobliżu tej rupieciarni. W małym miasteczku nigdzie nie jest zadaleko. Pan Hyacent chodzi w wąskich pantalonach i w surducie — skrojonym, podług mody z czasów wojny prusko-francuskiej 1870 r. Arleta powiada o nim, że z równą trwałością jak dawne mody zachowuje także dawne uczucia. I nie myli się. Pan Hyacent bowiem kocha dotąd Marję, którą zaczął uwielbiać akurat dwanaście lat temu. Perypetje uczuciowe i pedagogiczne pana Hyacenta odtworzył z wyborną swadą i taktem **pan Neubelt**.

W geologii dziwactw, przedstawionych przez Acrement a — drugą warstwę, już mniej zagęszczoną, mniej skamieniałą — stanowią: Ksiądz Dechant (**pan Wollejo**) i gospodarz domu de Fleurville (**pan Dejunowicz**). Ksiądz Dechant mógłby podziękować panu Wollejo za plebańską, zrównoważoną, okrągłą grację i za dostojną okazałość tuszy. Przyczem wypada nadmienić, że był pan Wollejo proboszczem nie tylko z wyglądu, lecz i z namaszczonej mowy i ze spokojnego rozmysłu, którym ogarniał sprawy ludzkie.

Pan Dejunowicz jako wojowniczy gospodarz de Fleurville spisał się dobrze, chociaż wojnę o zepsutą rynne przegrał.

Młode pokolenie: Arleta i Jerzy — to ptactwo przelotne. Nagle spadli do miasteczka i, należy przypuszczać, że tak samo nagle odlecia. Przynoszą ze sobą powiew szerszych widnokręgów i tęsknotę do większych przestrzeni. Świadczy o tem ich liryczny dialog o maleńkiej prowincjonalnej stacyjce, odrapanej, niechlujnej, przez którą rzadko przechodzą pociągi, która jednak może w odpowiedniej chwili być punktem odzwania się w bezmierny, mało znany świat.

Jerzego grał **pan Mroźewski**. Zarówno z kłopotów miłosnych, których mu nie szczędziła Arleta, jak i z kłopotów aktorskich wyszedł obronną ręką. **Pan Surowa** w roli ucznia Verona łobuzował pomyślnie, a w krótkich spodeńkach było mu do twarzy.

To już wszyscy: mniej lub więcej pochwaleni. Tak, bo rzeczywiście grali dość przyjemnie.

Dekoracje pana Makojnika — trudne do określenia. Szkoła silniej wrażyła się w pamięć, niż mieszkanie czterech sióstr. Myślę, że posiadała więcej zwartości, że tworzyła lepiej opanowaną całość.

Później mieliśmy na rozkładzie sztukę Władysława Fodora: **Kiedy kobieta kłamie?** Rzecz dzieje się w Budapeszcie, nazwiska bohaterów są paprykowane węgierszczyzną. Piotr Alwinczy, Jerzy Horwath, Andrzej Török i t. p. Ale podobnie, jak papryka i ta sztuka może być przysmakiem międzynarodowym.

Sztuka Fodora jest pisana metodą gazeciarsko-filmową. Metoda równie dobra, jak każda inna. Lecz wysoce charakterystyczna i dlatego warta podkreślenia.

Skandal wynika w tej sztuce z dramatu miłosnego, który został przegrodzony od widza kulisami... zręcznej pomysowości autora. Fodor podsuwa swej bohaterce żalną przeszłość, kiedy to dzisiejsza ministrowa była żoną oficera kawalerji, hulaki, utracjusza, birbanta, krótko o wężłowato—hultaja spod ciemnej gwiazdy. Wyborne posunięcie. Ciągłe nas bowiem niepokoi to niewidzialne fatum, ten pierwszy mąż, wykołajeniec i cygan, mimo zerwania bezustannie udreżający Klare. Ten chwyt udał się Fodorowi. Skandal podszyty takim dramatem miłosnym — tworzy świetną przynętę na widzów. Fodor zna publiczność. Fodor umie jej dogadzać. A przystem Fodor złączny jest w obsłudze: wie ile gdzie jakiego sosu trzeba i jak robić najsmakowitszy gulasz z kryminalistyki, skandalu i erotycznych zawieszek w t. zw. „sferach towarzyskich”.

Po odrzuceniu różnych szczegółów (naprzykład historia z pokojówką Betty) zostaje ciekawy pojedynek na wytrzymałość nerwów między: zabójczynią, Klarą, jej mężem Piotrem Alwinczym i komisarzem policji, Horwathem. Małżeństwo wznosi barykady kłamstw. Policja usiłuje je zdobyć. Troje ludzi nateża wszystkie swe siły, skupia całą swą oporność w grze o cel bardzo odmienny. I właśnie, gdy kobieta mówi prawdę — nie wierzy jej policja. Zamiast zbrodniarki idzie do więzienia człowiek niewinny. Zastanówmy się nieco. Kobieta kłamie z miłości i prawdę mówi z miłości. Znak pytania umieszczony w tytule: kiedy kobieta kłamie? nie jest ozdobą retoryczną. Ta sama bowiem przyczyna (miłość) raz wywołuje kłamstwo, raz prawdę. Co za śliskość tendencji moralnej! Prostu kobieta — to sofistka okoliczności. Natychmiast zastrzegam się, że to jest pogląd Fodora. Może nawet nie pogląd, tylko nieprzewidywany wniosek z tego, co powypisywał w swojej sztuce kryminałno-salonowej.

Lepiej dać pokój Fodorowi i jego logice moralnej. Najbardziej mu do twarzy w stroju zabawiacza tłumów: sensacja, zabójstwo, skandal i t. p.

Rzućmy okiem na postaci, które się przewijają na scenie. Wyraźne grupy. Najpierw grupa dramatyczna: Piotr Alwinczy, Klara i Horwath.

Piotra Alwinczy'ego grał pan Szymański. Nie można powiedzieć, aby psycho-znawstwo Fodora zostawiało po sobie cienkie ściegi. Jego postaci mają twarde kanty. Kochający małżonek i dygnitarz państwowy, Alwinczy, nie jest osobistością wycienioną, ot niebla postać sceniczna i tyle. Nawiasem dodajmy, że trochę zalałuje ministrem z operetki. Jednak, pan Szymański stworzył z Alwinczy'ego figurę żywą, mocną, niekiedy wzruszającą. Miłość do żony nabrała akcentów głęboko ludzkich. Głos pana Szymańskiego, który tak śpiżowo rozbrzmiewał w Edypie, tu musiał rozbroić się ze swej heroiczności, zamienić się w codzienną mowę bólu zwy-

czajnych ludzi. Ostatnie sceny — były popisem tego aktorów wygrał w nich do ostatka wszystkie możliwości dramatyczne zawarte w tekście.

Pani Barwińska występowała w roli Klary. Rola dość trudna. Podwójnie trudna. Raz dlatego, że polega na ciągłej szarpaninie między kłamstwem a prawdą, na ciągłym utrzymywaniu, pozorów, pod którymi kryje się przepaść. A pod drugie dlatego, że Fodor wcale nie ułatwił aktorce zadania przez doskonały tekst. Pani Barwińska obie trudności przezwyciężyła. Jej rzekomy spokój zawsze był podminowany niepokojem, jej rozprężenie nerwowe tchnęło prawdą i misternym realizmem. Pozatem tekst Fodora ożywił się, zatętnił krwią.

Wreszcie nowoczesny Sherlock Holmes, komisarz Horwath, odtwarzany przez pana Mrożewskiego. Figura sztywna i niesamowicie domyślna. Pan Mrożewski — trafnie pochwycił zabawny patos tego kapłana służby wywiadowczej. Sentencje rzucane z posagowym gestem przez komisarza policji to, doprawdy udatna satyra, chociaż nie wiem, czy u pana Mrożewskiego świadoma. W każdym razie — efekt dobry.

Druga grupa postaci: szaraczki ludzkie, bez znamion szczególnych: Andrzej Török, Betty, lekarz. Ani to śmieszne, ani dramatyczne. Pan Borowski w roli Törökego poprawny pan Owsiany pako lekarz — niezły; pani Seiborowej powierzono — żalossne niepokoje i troski o narzeczonego garderobianej Betty. Rola była wykonana z dużą kulturą. Pani Seiborowa kładła w swoją grę tony matowe i dzięki temu uzyskała miłą całość.

Do grupy trzeciej — najliczniejszej, należą postaci mniej lub więcej skarykaturowane. Oto ich litanja: Prezydent policji, numerowy, portjer, Katarzyna Szabo, profesor Rafall, pani Rozenewajg, jubiler Fiszer.

Pan Seibor w roli Prezydenta policji, spisywał się dobrze, jako aktor, gorzej jako prezydent, bo jednak nie nie zdołał wykrzyć z tajemnic Klary; portjer (pan Siezieniewski) i numerowy (pan Środka) posiadali autentyczny styl hotelowy: z dziedziny sztuk pięknych: właścicielka magazynu mód — pani Rozenewajg vulgo pani Jasińska Detkowska, aktorka chwilowo bez zajęcia, Katarzyna Szabo, czyli pani Górka, i zegarmistrz-jubiler Fiszer to jest pan Surowa — ogółem tworzyli śmieszna trójkę groteskową. Szczególnie wyrazistą groteskę dał pan Dejunowicz w roli mistrza telepatji profesora Rafaela. Jak widzimy w sztuce nie brak urozmaicenia klasowego. Skala szeroka: od pokojówki do ministra włącznie. Ale jest tam wyjątkowo plastyczny szofer, Pataki. A może dlatego plastyczny, że grał go z pasją iście szoferską pan Zastrzeżyński?

Wogóle nasz teatr wyświadczył Fodorowi niemałą przysługę. Dekoracje pana Makojnika (np. gabinet w pałacu Alwinczych, lub jadalnia) były co najmniej poprawne, gra aktorów dobra. No i sztuka, którą w czytaniu ciągle się odkłada, bo nudzi swoją płytkością, na scenie wydziła dreszczyk sensacji, lechce ciekawość widza. I powiada się wtedy: ten Fodor, to jednak majster. Rzecz prosta, że tym razem pochwała... krzywdzi aktorów.

Zygmunt Falkowski.

Na deskach „Lutni“

Z uczuciem zawodu czytałem sprawozdania z premjery „Orfeusza w piekle“ w dziennikach wileńskich. Wprawdzie wszystkie trzy (w „Kurjerze“, „Słowie“ i „Dzienniku“) były pochlebne — ale na tem koniec. Recenzje, jak z każdej innej operetki.

A przecież do „Orfeusza“ tak podchodzić nie można. Wystawienie „Orfeusza“ — to swego rodzaju epokowe wydarzenie, w świecie muzycznym, i wśród miłośników muzyki z amatorstwa, a wrażliwych na dobrą muzykę — wogóle.

Nie potrzebuję chyba udowadniać, czym jest Offenbach z jego muzyką mieniącą się bogactwem melodyj i motywów, jak wdzięcznie subtelne są te melodie, jak piękne są poszczególne partie wokalne. Stąd oczekiwać należało, że fakt wystawienia „Orfeusza“ powitany będzie z entuzjazmem większym — pomijając już zadowolenie, z udatnego wystawienia.

Strona muzyczna i wokalna zostały oddane przez zespół

orkiestrowy i wykonawców ról bez zarzutu, biorąc zwłaszcza pod uwagę trudności partytury. Szczególnie uznanie należy się p. Sławie Bestani za partję Eurydyki, partję wcale nie łatwą, zwłaszcza w momentach koloraturowych. Pokonaniem jej p. Bestani złożyła dowód szerokiej skali swych uzdolnień wokalnych. Pani Martówna w roli Kupidyna dowiodła, że potrafi nie tylko dobrze tańczyć. Humor w „Orfeuszu“ opierał się na p. Tatrzańskim, którego Jowisz zmuszał widownię do zrywania boków ze śmiechu. Pan Wawrzukowicz, jedyny w „Orfeuszu“ (i zespole) naprawdę śpiewający mężczyzna, rozumiał zapewne całą wagę swej roli, gdyż w odpowiednich momentach potrafił wydobyć z siebie należytą ilość naprawdę ładnego głosu. Pozostali wykonawcy bez zarzutu. Produkcje baletowe i dekoracje (p. Makojnika) — jak zwykle — cieszyły oko. Teksty, zaktualizowane przez p. Bujnickiego, bez przesady skrzyły się dowcipem i satyrą i cieszyły ucho doskonałą polszczyzną.

Gałość — z rzędu tych, co dostarczają widzom czegoś więcej, ponad miłą rozrywkę; nie dziwnego — ród swój wie-
dzie z pod znaku Sztuki.

* * *

Na marginesie „**Bajadery**” Kalmana, która niedawno ustąpiła miejsca „**Orfeuszowi**”, — ciśnie się pod pióro pobożne życzenie pod adresem p. dyr. Śmiałowskiego, aby, w miarę możliwości, unikał obsadzania ról młodych, artystkami w tym wieku, co p. Elna Gistedt. Słuszności tego życzenia motywować zapewne nie potrzebuje. Wystarczy, jeśli przypomnę uczucie przykrości, jakiego doznawałem (nie ja jeden z pewnością) patrząc na bohaterskie wysiłki p. Gistedt w ewo-

lucjach tanecznych bajadery. Oklaski, jakie zbierała, były raczej wyrazem uznania dla żywotności podstarzałej diwy, niż zadowolenia z poziomu jej produkcji. Piękny, pełnowartościowy głos, jakim niewątpliwie rozporządza p. Gistedt, nie potrafi zasugerować widza tak dalece, aby mu się zdawało, że widzi na scenie młodą, pełną życia tancerkę, podczas gdy rzeczywistość jaskrawo temu przeczy.

Cóż robić... Czas robi swoje. Artystki w rodzaju p. Gistedt mają szerokie pole do popisu przed mikrofonem, ze sceny zaś tylko w tych rolach, które w efekcie dają harmonję wrażeń słuchowych z wzrokowymi. Jest to pierwszy i kardynalny warunek, dotyczący obsady ról, zwłaszcza głównych, w operetce.

Kret.

Sztuka K. Leczyckiego na Pohulance.

Zanim omówimy ją obszerniej, śpieszymy rzucić przynajmniej kilka uwag.

Jesteśmy pismem miesięcznem, więc dzienniki nas wyprzedziły. Niepodobna pominąć milczeniem recenzji, która brzmiała mniej więcej tak.

— Kazio Leczycki napisał sztukę. A jakże, znam go. Miły chłopak. Nawet peowiak. Nic nie zrozumiałam, ale mogę stwierdzić, że jest do niego.

Takie recenzje mają swoją smutną tradycję w historii literatury. Blamowały się grubsze ryby, dla czegożby nie miała się zblamować raz jeszcze nasza wileńska recenzentka.

Wileńskie przysłówie regionalne powiada: Romer locuta — causa finita, ale my w tym wypadku bądźmy heretykami.

Sztuka Leczyckiego „**Dzieje Wolności**” niewątpliwie jest bardzo ciekawa pod względem zarówno treści jak i formy.

Fabuła, jak fabuła. Kiedyś ją streścimy. Ciekawe jest jej ujęcie. Sztuka nie jest pisana dla ubawienia gapiów, ale przykuwa uwagę i frapuje. Fabuła nie jest celem sama sobie. Służy ona idei autora, — służy ostrej satyrze na bezideowość, przedajność pewnych sfer społeczeństwa.

O tem już pisano, — powie kto.

A jakże. Zapolska, Żeromski, Dostojewski i legion innych, a co najważniejsza — Marszałek Piłsud-

ski — atakujący tak niedawno sprostytuowanie się psychiki narodowej nawet w życiu politycznem.

Leczycki znalazł się w bardzo godnem towarzystwie, a przeciw sobie ma tylko p. Romer.

Biedaczka nie może mu darować, że tak go dobrze zna i nawet go lubi, a on śmie pisać inaczej niż nieboszczyk Fredro.

Oto sęk. Leczycki pisze nie tylko o ciekawych rzeczach, ale pisze też w sposób odmienny. Trzeba przyznać — w sposób niewdzięczny. Skrót myślowy, macosze traktowanie subtelności psychologicznych i realistycznych, podkreślanie słów, gestów i rekwizytów symbolicznych i alegorycznych zbliża go pod względem formalnym do techniki pisarskiej Wyspiańskiego i Norwida, a umyślna deformacja rzeczywistości kojarzy sztukę jego z twórczością Witkiewicza i Jewreinowa.

Od naiwnej „**Sztuby**” do „**Dziejów Wolności**” jest ogromny krok naprzód.

Sztuka pobudza do myślenia, powoduje spory i widownia niewątpliwie lepiej ją odezwała, niż... recenzentka. Szkoda, że prasa codzienna wprowadziła w błąd tych, którzy sztuki tej nie widzieli.

Zrozumienie sztuki Leczyckiego wymaga analizy, której ona niewątpliwie jest warta — to też jeszcze do niej wrócimy.

War.

Z T-wa Popierania Budowy Publ. Szkół Powsz.

Od paru już lat działa Tow. Pop. Bud. Publ. Szkół Powsz. Zostało ono uznane za organizację społeczną najwyższej użyteczności publicznej. Do pewnego stopnia usiłuje ono zapłacić tę lukę, jaka się wytworzyła wskutek kryzysu w powszechności nauczania. Troszczy się towarzystwo o budowę nowych szkół, nowych izb szkolnych, o niezbędne inwestycje w istniejących już szkołach.

27 lutego odbyło się zebranie delegatów Kół Towarzystwa z terenu m. Wilna. Okazało się, że istnieje tu 65 kół, a kilka nowych jest w stadium organizacji. Pomimo ciężkich czasów kole ta wciąż 1935 roku uzbierały 22 tysiące złotych. Z tego

20 tysięcy wyasygnowano jako pożyczkę Magistratowi na budowę szkoły Nr. 18 przy ul. Żwirki i Wigury. Szkoła ta w nowym gmachu uruchomiona, została już w grudniu ub. roku. Na rok 1936 projektowane jest wsparcie budowy szkoły na Jerozolimce i zakup pomocy naukowych dla pracowni zajęć praktycznych.

Coprawa potrzeby szkolnictwa powszechnego są w ten sposób zaspakajane tylko w bardzo małej części, ale podczas posuchy cenną jest każda kropla, a społeczeństwo wileńskie, wyjątkowo ubogie, dało jeszcze raz dowód niegasnącej ofiarności obywatelskiej.

War.

Z AKADEMICKIEGO KLUBU WŁÓCZĘGÓW

Włóczęga do zimnego oceanu

C. d.

Z Viipuri udaliśmy się do słynnej Imatry, źródła białego węgla Finlandji. Rzeczywiście tak jak nas uprzedzano, Imatra robi imponujące wrażenie gdy się ją widzi poraz pierwszy. Wśród cudownej, lesistej okolicy przepływa wzburzona rzeka, którą przegradza olbrzymia, bardzo szeroka tama. Woda z ogromnym łoskotem i hukiem spada z wysokości mniej więcej 17 m., tworząc potworne leje i wiry wodne. Siła jest tak duża, że wyczuwa się wprost drżenie powietrza, rozedrganego od ciągłych uderzeń. Woda, rozbijająca się o skaliste dno rzeki zmienia się w dużej ilości w pył wodny, którym jest przesycane całe powietrze.

Imatra robi wrażenie na każdym. Wyraźnie odczuwaliśmy obaj olbrzymie potęgę i siłę przyrody. Jest w tej spadającej wodzie coś dzikiego i pierwotnego.

Nasz następny etap z Imatry do Punkahariu, który odbyliśmy w większości piechotą, jest jednym z najwspanialszych i najcudowniejszych wycieczek w moim życiu. Droga ciągnie się między jeziorami, przyczem, jest to wąziutki przesmyk szerokości 10 — 15 m., cały gęsto zalesiony, z obu stron oblany niebieskimi wodami jeziora. Szliśmy wieczorem. Zachodzące w dali słońce chowało się jakby w wodę, rzucając ostatnie blaski i tworząc dziwaczne cienie z wystających wysoko drzew. Cisza panowała wokoło przerywana tylko od czasu do czasu żalonym krzykiem, przelatujących mew.

Byliśmy wyraźnie pod urokiem wieczoru fińskiego.

Na brzegu drogi od czasu do czasu wznosiły się ogromne kamienie, całe pokryte szaro rdzawym mchem, które wydawały się stać jakby na straży przyrody, grożąc śmiałkom, wkraczającym w ich królestwo...

Po zwiedzeniu nadzwyczaj malowniczo położonego Saronlinna, a zwłaszcza słynnego zamku rycerskiego, obronnego Ilanlinna, którego mury miejscami mają od 3 do 4 metrów, wsiedliśmy na statek, zdążający do Kuopio. Tu spotkała nas miła niespodzianka, gdyż kapitan statku, dowiedziawszy się, że jesteśmy studentami z Polski ofiarował nam kajuty drugiej klasy (oczywiście mieliśmy bilety III klasy) i pokład I klasy. Wogóle, można śmiało powiedzieć, że cały statek „cieszył się“ naszą obecnością. Prawie wszyscy starali się z nami rozmawiać, robiliśmy co chwila różne zdjęcia, mało brakowało abyśmy nie rozdawali swoich autografów.

Mój przyjaciel nota bene coś tam kilku przystojniejszym Finkom wypisywał... przez dłuższy czas. Porozumiewaliśmy się wówczas na statku metodą tak zwanego pisma obrazkowego, co miało tę dobrą stronę, iż oprócz minimalnych możliwości samego porozumienia, było doskonałą zabawą.

Płynęliśmy szybko mijając szereg wysp, porozrzucanych w dużej ilości po drodze. Wreszcie Kuopio. Wysiadamy.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Jok, który, jak się okazało, pomimo nieznamomości języka fińskiego doskonale rozmawiał i porozumiewał się z jedną przystojną Finką, oświadczył mi kategorycznie, że jedzie dalej i nie ma najmniejszego zamiaru tu wysiadać. Dopiero dłuższe tłumaczenia i groźby zdołały go przekonać, aby porzucił swój zamiar.

Wysiadł z wielką niechęcią. Nieznajoma Finka powiedziała mi kilka brzydkich słów po fińsku, których na szczęście nie nie rozumiałem.

Nie chciała zrozumieć, że mojej w tym winy nie ma. Z Kuopio jedziemy pociągiem do Rovaniemi, które jest już ostatnią stacją kolejową w naszej drodze na północ.

Ostatni odcinek Rovaniemi — Petsamo, a właściwie Ziinahamari mamy przebyć autem. Wyrusza my wczesnym rankiem, mając przed sobą 507 km. Droga odrazu zaczyna się wesoło, gdyż jedziemy autem ciężarowym (dla oszczędności), ale miejsca są wygodne, bo za siedzeniem szofera w towarzystwie kilku wieśniaków fińskich, którzy po chwili wyjmują butelkę wódki i zachęcają nas gorąco do picia. Wykręcamy się od tego powtarzając im „sport“, „sport“ i kręcąc głową, że nie wolno nam pić, nawiasem mówiąc wódka fińska jest nienadzwyczajna.

Bardzo jest ciekawe, że gdy im powiedzieliśmy, że jesteśmy Polakami, to ci prości wieśniacy, daleko na północy Finlandji mieszkający, wymienili odrazu nazwisko Kusocińskiego. Dla nich Polska — to Kusociński, poza tem nie więcej nie wiedzieli.

Pędziliśmy na północ.

A trzeba przyznać, że pędziliśmy uczciwie, gdyż nasze auto ciężarowe, chociaż było olbrzymie i wyładowane całe towarami, to jednak szofer nie jechał nigdy wolniej jak 60 km na godz., miejscami docigając do 90 km. Na drodze sześciometrowej, wijącej się pomiędzy skałami, rozpadlinami, kiedy za zakrętem nie wiadomo napewno czy się nie spotka auta idącego ze strony przeciwnej — to robi pewne wrażenie.

Całą naszą drogę autem można porównać do przyglądania się mapie tylko, kiedy na mapie mamy granice gdzie kończą się lasy, zaczynają się mchy, tundra, potem gołe skały, odmalowane, to my to wszystko mieliśmy przed oczyma. Kraj stopniowo stawał się coraz bardziej dziki. W pewnym momencie mignął nam z boku przebiegający w susach renifer, zwany przez Finów — porro. Reny na wolności nie są wcale rzadkością w północnej Finlandji, spotkaliśmy je kilkakrotnie, raz nawet w większej ilości.

Stopniowo mijaliśmy granicę lasów i zagłębialiśmy się w tundry. Chciałbym tu wspomnieć o pewnym uczuciu, które nasunęło się nam obojgu.

Pogoda była wspaniała. Auto nasze rwało nieustrudzenie naprzód, wśród wznoszących się gdzieś ogromnych skał, pozostawiając za sobą dziwnie postrzępione rozpadliny i doliny jarów, wśród których nierzadko lśniły zdaleka lustra jeziorek o wodzie ciemnobłękitnej, odcinającej się wyraźnie od

brudnoszarych skał i rdzawych mchów. Powietrze było nadzwyczaj czyste i trochę chłodnawe. Nasze ciągle rozmowy, przeplatane od czasu do czasu wyrażeniami mniej lub więcej nieparlamentarnymi, a zwłaszcza mniej, stopniowo milkły. Pośród tej cudownej natury, czystego, jak kryształ, powietrza nie można było zaprzeczyć, najmniejsze kłamstwo i oszukaństwo wydawało się zbrodnią.

Gorzkie żale

JESZCZE JEDEN KWIATEK BIUROKRATYZMU.

Min. Pieracki wydał okólnik o pewnej redukcji prac biurowych i niepotrzebnych konferencji w szkołach, min. Raczkiewicz zapowiedział obywatelskie przeszkolenie urzędników, — gazety raz po raz donoszą o tem lub innym ograniczeniu czynności biurowych. A jak jest w życiu?

Wzemy mały przykładzik. Rozmawiałem z pewnym ojcem miasta o odbiurokratyzowaniu szkolnictwa.

— Ale pedagogzy sami tego nie chcą, — powiada ów, — ot, np. kierownicy szkół. Posyłał im zawsze materiały piśmienne dla kancelaryj. Domagali się koniecznie, aby im pozwolono samym czynić zakupy, — zgodziliśmy się, no i mają nową pracę: kupują, księgują, piszą sprawozdania.

Zastanowiło mnie to. Wstąpiłem do jednego ze znajomych kierowników szkoły i zagadnąłem go wręcz o to.

W odpowiedzi otworzył szafę. — Oto, — rzekł, — materiały nadsyłane przez magistrat od dat pięciu. 25 poduszek do pieczęci, 25 flaszek tuszu, 4 kg. sznurków do zszywania aktów, sześć tuzinów obsadek i t. d. Wszystko to leży tu i leżeć będzie do dnia sądnego, bo mi jest niepotrzebne.

— A ten papier? — wskazałem pokazałą stertę papieru biurowego.

— Ten papier też nie nadaje się do użytku. Mamy zarządzenie pisać do władz tylko na papierze znormalizowanym, o wymiarach ściśle określonych.

— Czy niema innego sposobu wyjścia, jak tylko te dwa, t. j. albo nasyłanie materiałów niepotrzebnych, albo nabywanie ich z akompanjamentem niepotrzebnej pisaniny?

— Owszem był trzeci — dawano kiedyś ryczałt, — ale teraz próbują oszczędzać.

— Oczywiście ta oszczędność nie jest oszczędnością?

— Ma się rozumieć. Jeżeli doliczyć zmarnowany czas, — to kosztą są podwójne. W dodatku cierpi na tem szkoła.

Tu godzina, tam godzina, jeszcze gdzieś parę godzin, a wszystko to odrywa od pracy pedagogicznej.

W epoce odbiurokratyzowania: szafy załadowane niepotrzebnymi materiałami pisarskimi, szczególnie papierem, który jest o pół centymetra szerszy od urzędowego — „znormalizowanego” i dlatego tylko nie może być używanym. Cała korespondencja w sprawie zakupu flaszki atramentu i pudełka kredy. Zniesienie ryczałtu na kancelarję kosztem odrywania pedagogów od ich zasadniczej pracy.

ZAPÓŹNE ŻALE I... PROTESTY.

Gdy Kuna już (według Szopki) „wydłubał babunię” z kamienia i gdy się sygnęło na to sporo forsy — „Słowo” podniosło alarm, sygnęły się protesty.

W dniu uruchomienia kolejki linowej na Kasprowy czytaliśmy protesty przeciwko jej... budowie.

Gdy magistrat pokopał „czortowe jary” na Pivnej i Rossie, buląc grubą forszę, ocknęli się prof. Limanowski i ks. Śledziwski, budząc sumienia, uczucia estetyczne i Komisję Urbanistyczną.

Wszystko to żale słuszne, ale czemu zapóźne? Przecie czas to pieniądz i to gruby.

CZY KRÓL SOBIESKI BYŁ OBYWATELEM POLSKIM.

Mimo wydania okólników i rozporządzeń przez M. Spraw Wewnętrznych w sprawie ukrócenia biuralistyki, uproszczenia formalności, zaprzestania nękania interesantów, jednak to skutku nie odniosło, a Panowie urzędnicy dalej używają sobie na interesantach.

Oto kilka kwiatków.

Pewna osoba dwa lata temu starała się o paszport, w celu zwiedzenia Gdańska. W ciągu miesiąca paszport jakoś nie

Obaj pomyśleliśmy o tem samem. Ludzie północy, to ludzie odwagi i męstwa, to ludzie o wielkiem i czystem sercu, nieznającym co to kłamstwo i obłuda. A działała to — sama natura.

Wyczuwało się wyraźnie, że człowiek tu innym być nie może.

c. d. n.

Konrad Bohdanowicz.

wydano, termin wyjazdu nadszedł, owa persona wyjechała do Gdyni, na Hel, z Gdańska jednak musiała zrezygnować. Gdy otrzymano paszport, trzeba było czynić specjalne starania o potwierdzenie obywatelstwa, co uskuteczniło dopiero teraz w styczniu b. r.

Pewien jegomość, rodem z Kongresówki wywędrował przed wielką wojną do Ameryki. Powrócił do Polski z armją gen. Hallera. Starał się na terenie jednego z województw centralnych o potwierdzenie obywatelstwa, w celu otrzymania posady w instytucji rządowej. W ciągu sześciu tygodni bezskutecznie nachodził Urząd Wojewódzki, urzędnik natomiast doradzał cierpliwość, mimochodem rzucił „mądrą i cenną” maksymę: **Można być Polakiem, chrześcijaninem, uroczonym w Polsce i służyć w armji polskiej — a nie być obywatelem polskim.**

Nic dziwnego, iż pewien nauczyciel-warszawiak, doszedł do wniosku (vide feljeton „Kurjera Warszawskiego” ze stycznia b. r.), kiedy do poświadczenia obywatelstwa polskiego zażądał od niego różnych dokumentów, odpisów, wyciągów i innych zaświadczeń: — Czy król Sobieski był obywatelem polskim?

A co ma robić taki „delikwent”, który urodził się na Syberji, uciekł od bolszewików, nie posiada żadnych dokumentów, a stara się o obywatelstwo polskie?

W sprawie przedłużenia pozwolenia na broń niektóre starostwa załatwiają formalności w ciągu 5—20 minut. Pewien referent do tych spraw zabrał dokumenty, prosząc o przybycie za dwa tygodnie. Informowałem się z jakiego to powodu referent ów nie załatwia spraw na poczekaniu. W prywatnej pogawędce wyjaśniono mi — „**iz sprawa musi nabrac moey urzędowej**”. Tu jest cała tajemnica, tu jest przysłowiowy „pies pogrzebany”.

Książki i czasopisma

Kpt. Mieczysław Lepecki — „Sowiecki Kaukaz”. Podróż do Gruzji, Armenji i Azerbejdżanu. Warszawa s. d. Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska”. Stron 197 b. nlb.

Po Brazylii, Marokku, Paragwaju, Egipcie i Sybirze w podróżach kpt. Lepeckiego przyszła kolej na Kaukaz.

Autor patrzy na wszystko bezstronnie okiem turysty. Daleki jest nie tylko od syntezy, ale i od jakichkolwiek uogólnień, nawet od wniosków. Opowiada co widzi, a ty, czytelniku, sam sobie snuj domysły.

Pierwsze rozdziały dają parę migawek z Ukrainy, z autonomicznej republiki rumuńskiej, z Krymu. Dopiero sam Kaukaz potraktowany jest szerzej.

Każdą książkę o Sowieciach bierze się do ręki z dreszczem oczekiwania sensacyj, rewelacyj o tym kraju egzotyki socjalnej. W stosunku do książki Lepeckiego dreszcze zawiodą. Tak dużo zostało tam po dawnemu: i szylt na magistracie kijowskim napisany wyłącznie w języku rosyjskim, i pomnik jednego z dawnych gubernatorów w Odesie, i przebudnione kurorty nad morzem Czarnem, i ordynarny tupet urzędników wobec swoich, a uniżoność przed gośćmi z zagranicy, i taki oto np. rodzajowy obrazek z Węgierszapalu:

„Zastajemy mnóstwo kąpiących się czerwonoarmistów. Zboku, przy stole, ustawionym w cieniu drzew, siedzą towarzysze komandiry. Są lepiej ubrani od szeregowych, mają pewniejsze siebie miny i energiczne głosy. Piją wódkę i grają w karty. Czerwony manšaft trzyma się od nich zdaleka. W pewnej chwili słyszę ogromny wrzask:

— Wańka. Wańka. Chodź tutaj.

Nadbiega żołnierz i staje „na baczność” przed stolikiem, przy którym siedzi komandnyj sostaw. Jeden z czerwonych oficerów „ruga” go za jakiś źle umyty talerz. Wańka sumituje się pokornie.

— Nie gniewajcie się, towarzyszu komandirze, — mówi, — talerz był czysty. Napewno drań ptak narobił. Spójrzcie, ile ich tu na drzewach siedzi“.

W jednym tylko widoczna zmiana, w życiu religijnym. Są jeszcze kościoły i cerkwie, ale opuszczone i puste. Oto jak się wyraża sam biskup, faworyzowanego przez bolszewików, kościoła ormiańskiego:

„Nasza katedra jest już dzisiaj właściwie zabytkiem, muzeum. Nawet my, ludzie ubrani jak na dzisiejsze czasy dziwnie, jesteśmy częścią składową tego muzeum. Konserwują nas w tej atmosferze, jak żaby konserwuje się w spirytusie“.

Jeżeli do takiej rezygnacji doszedł dostojnik kościoła, to co musi być z „wiernymi“.

Jeszcze jedno jest uderzającą zmianą. Wszyscy usiłują myśleć, a bardziej jeszcze mówić, kategoriami marksistowskimi. Chłop turkiski, który wziął naszego autora za poborę podatków, taką wypalił do niego perorę na powitanie zamiast dzień dobry:

„U nas cały plan gospodarczy chcemy wykonać w 95 procentach. Piatyletka potrzebuje równouprawnienia z kobietami. Gosudarstwennoje stroitelstwo jest niezbędne dla owiec. Jeśli przyjechałeś po miasozagotówkę, to nic z tego. Nie mamy ani jednego barana“.

Nie jeden kmiotek z kresów wschodnich też potrafi uciąć taką mowę do sekwestratora, tylko na innej kanwie ideowo-teoretycznej.

War.

W walce o szczyty Andów. — Nakładem Głównej Księgarni Wojskowej 1935, stron 239.

W końcu 1933 i początku 1934 roku zwiedziła Andy polska wyprawa naukowo-alpinistyczna w następującym składzie: inż. Stefan Daszyński (geologja i sprawy językowe), dr. Jan Dorawski (lekarz wyprawy i badania fizjologiczne), inż. Adam Karpiński (pomiar meteorologiczne, wysokościowe, ekwipunek), dr. Konstanty Narkiewicz - Jodko (kierownik wyprawy, pomiary promieniowania kosmicznego), inż. Stefan Osiecki (film) i Wiktor Ostrowski (fotograf wyprawy).

Wyprawa w północnej Argentynie osiągnęła szczyt Cerro Ramada (6410 mtr. nad p. m.) i wreszcie najwyższy szczyt Andów Aconcaguy (7035 mtr. nad p. m.). Na Aconcaguy do tarła nasza ekspedycja w 2 godziny po ekspedycji włoskiej i była 8-mą z kolei w rzędzie zdobywców tego szczytu. Nad Włochami górowali nasi, że weszli od strony wschodniej, dotychczas niezdobytej, gdy tymczasem Włosi szli utartym szlakiem.

Nie obeszło się i bez tragicznego momentu. Kierownik wyprawy odmroził ręce i przypłacił wyczyn alpinistyczny amputacją palca.

Otóż ta wyprawa jest treścią omawianej książki. Większą jej część napisał Narkiewicz — Jodko, pojedyncze rozdziały — inni uczestnicy wyprawy.

Wątek zaczyna się od przygotowań w Warszawie, potem jest podróż do Ameryki, podróż pociągiem do zamierzonego celu w Argentynie, wreszcie wyprawa alpinistyczna w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Książka jest napisana nadzwyczaj zajmująco i kulturalnie. Zupełny brak wiadomości oklepanych, encyklopedycznych, natomiast dużo ciekawych spostrzeżeń z różnych zakresów życia i wiedzy. W partjach pisanych przez Narkiewicza — Jotkę pociąga i ujmie pogodny humor, czasem subtelna satyra, z jaką autor traktuje różne dolegliwości podróży i bystro spostrzegane wady ludzkie.

Obfite fotografie Ostrowskiego, Karpińskiego i Daszyńskiego obok ilustracyjnej posiadają wysoką wartość artystyczną.

Graficzny układ i okładka również podnoszą artystyczną wartość wydawnictwa.

Jednym słowem wszystko od treści i stylu aż do okładki okazało się na wysokości zadania. Książka ta zajęła niewątpliwie jedno z naczelných miejsc w naszej literaturze podróżniczej.

Napisana jest popularnie. Naukowe wyniki wyprawy skierowane zostały do wydawnictw specjalnych. Przeznaczona tedy dla szerokich warstw powinna znaleźć sobie licznych czytelników, szczególnie wśród turystów i starszej młodzieży.

War.

„Środy Literackie“ Nr. 3, styczeń 1936.

Numer zdaje się mieć pewną oś ideową. Redakcja w swych porachunkach polemicznych pisze: „Nawiązanie rzeczywistego i wszechstronnego kontaktu z literaturą białoruską i litewską byłoby przejawem czysto regionalistycznym, toteż konsekwentnie jest stałym dążeniem redakcji „Śród“.

Słuszne stanowisko. Redakcja niewątpliwie ujawniła dążność tego rodzaju. W omawianym numerze świadczy o tem

sprawozdanie z życia literackiego Litwinów w Wilnie. Swoje stanowisko redakcja sformułowała zbyt ciasno, — w praktyce zatacza on szersze kręgi. Właśnie ten sam numer przynosi artykuł o teatrze polskim w Lotwie i o przekładach poezji polskiej na rosyjski D. Bochana. Wilno, zawierające w granicach swoich tyle narodowości, musi liczyć się z koniecznością przenikania się wzajemnego różnych kultur. Polityka zaborców sprawiła, że żyliśmy obok siebie, a nie ze sobą. Czas to zmienić i wrócić do tradycji kulturalnych epoki Jagiellońskiej. „Środy“ są tedy na dobrej drodze i trzeba przyznać, kroczą bynajmniej nie drogą najmniejszego oporu. Nacjonalizmy ze wszystkich stron (bez wyjątku) nawet w wileńskim światku są bardzo żywe i nieustępliwe, a łagodzenie ich nawet na gruncie ściśle kulturalnym wymaga odwagi cywilnej. Kto nie wierzy niech zajrzy do pisma „Kalośe“ Nr. 3 do recenzji śpiewników wydanych przez Kur. Okr. Szk. Wil. (str. 179 i nast.). Z jednej strony nie sposób nie przyznać racji recenzentowi, gdy oskarża redakcję i wydawców o pewną zachłanność w stosunku do poezji ludowej białoruskiej, ale z innej znów strony sam recenzent nie umie zachować umiaru. Widzi zdźbło w oku bliźniego, a tramu w swoim nie widzi. Walka o ten umiar, o sprawiedliwość tam, gdzie wszystko zmierza do tworzenia frontów przeciwnych sobie, jest to stawianie trzeciej strony barykady przeciwko dwóm pierwszym.

Jednym słowem wydaje się, że organ naszego Klubu w „Środach“ zyskał sprzymierzeńca.

Z innych prac niezmiernie ciekawym jest podniesienie przez p. Narębskiego dawnego projektu rozbudowywania Wilna w kierunku Snipiszek.

War.

Kalendarz Ziemi Wschodnich na rok 1936. Wydawnictwa rok II. Wydawnictwo Zarządu Gł. T. R. Z. W. Warszawa, Zgoda 8.

Znajdujemy tu przede wszystkim bogaty dział informacji dotyczących całej Polski, a mianowicie: władze i urzędy, zrzeszenia, spółdzielczość, order i odznaczenia, wiadomości gospodarcze, poczta, myślistwo, statystyka wogóle, konstytucja. — Dalej informacje o Towarzystwie Popierania Ziemi Wschodnich i wypisy z pism Marszałka p. t. „Jak Marszałek Piłsudski czuł i myślał o ziemiach wschodnich“. Sto czterdzieści stron następnych obejmują artykuły z zakresu gospodarstwa kultury i życia społecznego Ziemi Wschodnich. Każdemu powiatowi i znaczniejszym miastom poświęcono osobne artykuły. Wreszcie część gospodarczo rolnicza i część literacka dopełniają to wydawnictwo do stron 378. Dobra redakcja i mnóstwo informacji czynią ten kalendarz miłym, a jednocześnie bardzo pożytecznym. Cena zaś przystępna (1 zł. 50 gr.) powinna wybitnie przyczynić się do jego rozpowszechnienia.

— „Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku“. Praca zbiorowa pod redakcją Romana Lutmana. (Pamiętnik Instytutu Śląskiego. Tom I). Katowice, 1936. Stron XXVI — 525.

Celem wydawnictwa „Stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku“ jest przedstawienie dotychczasowych badań nauki polskiej nad Śląskiem, wykazanie jej dotychczasowego dorobku, stwierdzenie braków i przez wysunięcie najpilniejszych postulatów stworzenie programu systematycznych prac naukowych na najbliższą przyszłość. W wydawnictwie tem pomieszczono pracę 17 autorów, którzy opracowali poszczególne dziedziny nauki. Omówiono tu stan i potrzeby nauki polskiej o Śląsku w następujących dziedzinach: geologii — M. Książkiewicz i E. Passendorfer, botaniki — A. Kozłowska i T. Bocheński, zoologii — J. Czudek, geografii — A. Wrzosek, kartografii — B. Olszewicz, antropologii — K. Stolyhwo i L. Sedlacek-Komorowski, etnografii — M. Gładysz, językoznawstwa — K. Nitsch, piśmiennictwa śląskiego — W. Ogrodzinski, prehistorji — J. Kostrzewski, historji — K. Plotowiec, historji sztuki — M. Gębrowicz, stosunków gospodarczych i społecznych — W. Olszewicz, prawa i demografji — E. Kostka.

Każda rozprawa zawiera obszernie omówienie dotychczasowej literatury przedmiotu, następnie zaś zajmuje się analizą stanu obecnych badań i wysuwa najpilniejsze postulaty naukowe, wykazując, jakie zagadnienia i w jakiej kolejności powinny być opracowywane. Autorzy w swych opracowaniach nie ograniczyli się tylko do terenu obecnego województwa śląskiego, ale rozważaniami swymi objęli cały historyczny Śląsk, kładąc oczywiście nacisk na tereny etnograficznie polskie.

Obszerne przeglądy bibliograficzne czynią z tego wydawnictwa równocześnie przewodnik bibliograficzny po literaturze śląskiej. Omawiana praca jest pierwszym tego rodzaju wydawnictwem w literaturze polskiej, poświęconem szczegółowemu omówieniu stanu i potrzeb nauki jednego regionu.

